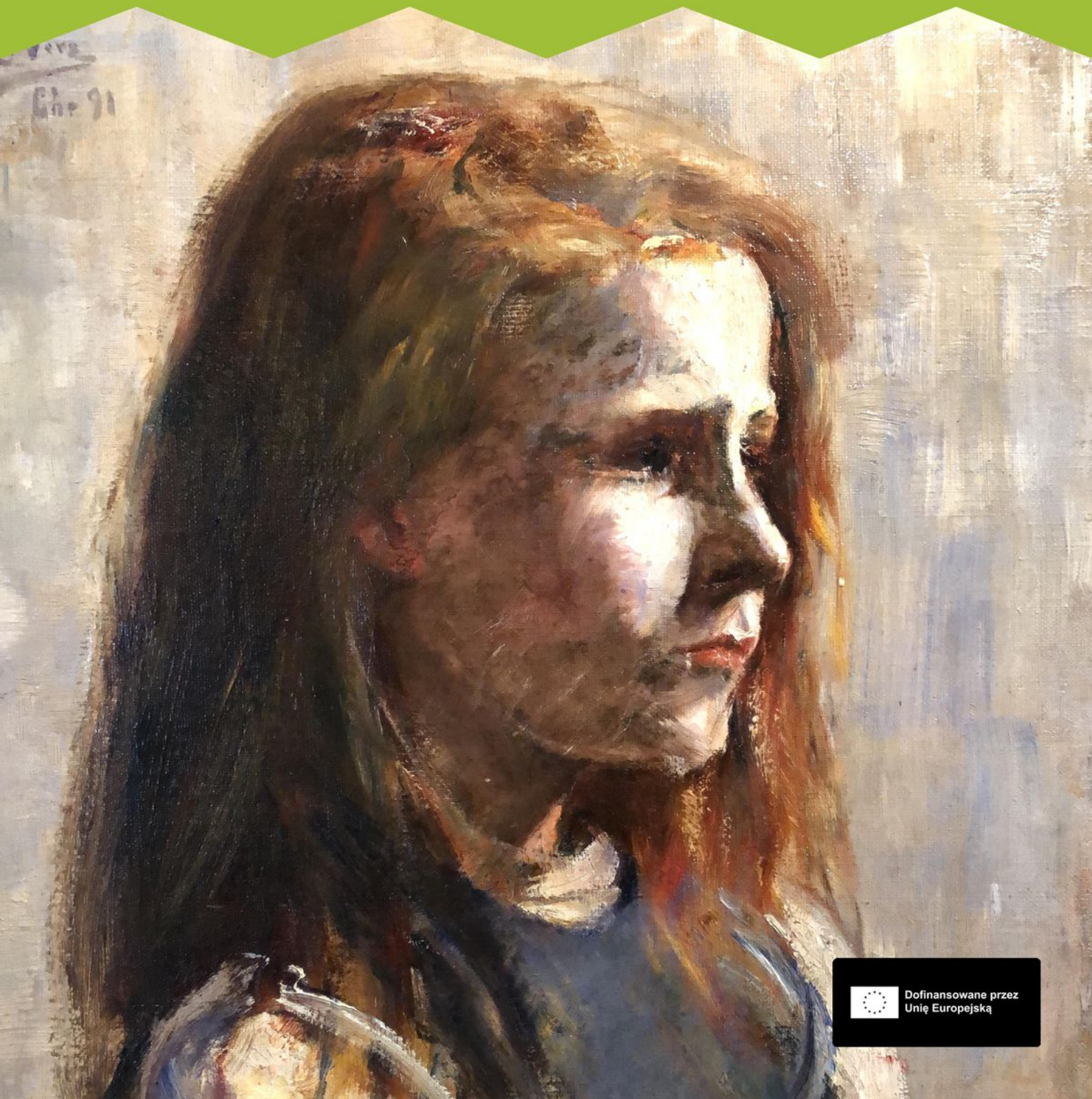


Zdarzyło się po drodze



AGNES VON KRUSENSTJERNA

Zdarzyło się po drodze

TŁUM. JUSTYNA CZECHOWSKA

BYŁO SOBIE RAZ DZIECKO

Było sobie raz dziecko. Powietrze mu wkoło śpiewało. Niewidzialne struny odgrywały tysiące melodii. Dorosli nie słyszeli pieśni. Lecz dziecko unosiło głowę i się uśmiechało. Melodia szła wprost z niewidocznej, tajemniczej przestrzeni. Ktoś złożył pocałunek na dziecięcym czole. Dlatego świeciło na białą. Różowy policzek pożyczył kolor muszelek z plaży, po której biegają bosa anioły. Blask w oczach zapaliły gwiazdy.

Lecz w sercu dziecka już wyczekiwał człowiek. Lata mijaly, a człowiek wyciągnął rękę i schwytał dziecko. A wtedy dobre i złe impulsy rozpoczęły w nim dziwną grę. Zupełnie jak dorosły dopuszczało się dobrych i złych uczynków, choć jeszcze nic nie wiedziało ani o dobru, ani o złu. A wszystko, co robiło — i dobre, i to złe — miało w sobie ogień dużo większy niż ten, z jakim działa każdy dorosły. To ten płomyk, dopiero co zapalony, pali się mocniej i jaśniej niż inne.

Człowiek w dziecku rósł. Ręka powoli, lecz nieubłaganie, ciągnęła dziecko do siebie. Przeprowadziła je z kwiecistej łąki do drogi, po której szły miliony ludzi. I zanim dziecko zdążyło pojąć, jak to się stało, także i ono szło drogą — już nie dziecko, a człowiek wśród miliona innych. Dziecko złękło się bardzo i chciało zawrócić. Lecz gdy ruszyło głową, gapiły się nań groźne twarze, a głosy mruczały: „Po co się kłócisz? My też idziemy przed siebie. Nikomu nie wolno zawrócić”. Deptali dziecku po piętach, więc nie mogło przystawać.

Wkrótce zniknęło poczucie strachu. Człowieka, który kiedyś był dzieckiem, dopadła żarliwość innych. Też chciało do przodu. Z pewnością mający tam jakiś cel. Inaczej po co by wszyscy pędzili przed siebie bez przystanku? Mijały dni, rok dodawał się do roku, a wielką drogę wciąż wypełniał gwar maszerującego tłumu.

Większość już dawno temu zapomniała, że byli dziećmi. Podczas wędrówki życie dawało im tyle do myślenia, tyle do zrobienia. Lecz podobnie jak kiedyś człowiek czekał w dziecku na swój czas, tak teraz dziecko nadal tkwiło w większości z nich. Jak wystraszony motyl przywarło do bijącego serca. Czasem skrzydłami dotknęło jego ściany. Wtedy rozbłyskało. Człowiek, który kiedyś był dzieckiem, przypominał sobie. Działanie człowieka często było powtórzeniem tego, co zrobił kiedyś jako dziecko.

„Dlaczego to robię?“, myślał zniechęcony. Mogło to być o czynie dobrym albo o złym. Motyle skrzydło łagodnie głąskalo serce. Wtedy człowiek przypominał sobie inny czyn, daleko w przeszłości, w dzieciństwie. Ach, to piękne, beznadziejne życie, które porusza się w kółko.

Mimo to człowiek szedł dalej, wypełniony myślą o tym, co czeka go tam w oddali. Czy się nauczył czegoś po drodze? Och, wiele. Pracował, dążył, kochał i cierpiał. Spotkały go wszelkie bolączki i radości życia. Wielkie szczęście i wielki smutek! Ledwie lży wyschły, a już się uśmiecha. Szybko rozumiał towarzyszy podróży, dążących z nim ku celowi w oddali.

Mówili tym samym językiem, uśmiechy i lzy. Sprzeczali się ze sobą i kochali się nawzajem. Jedni kopali w innych kurzem i brudem drogi, inni ze łzami ten brud wycierali. Niebawem droga miała się skończyć. Czuli to. Był bowiem bardzo zmęczony. Oczy zamglone, a plecy zgarbione, jakby od dawna niósł ciężar.

Dziecko, Dzieciństwo,
Kondycja ludzka,
Przemiana, Droga

Pamięć, Wspomnienia

Droga

I człowiek dotarł do końca drogi. Przed oczami objawił mu się nieskończony bezkres. Na ziemi leżały martwe ciała. Ciało przy ciele, członki pozbawione życia, sine usta, otwarte, popękane oczy. Był to widok potworny. Lecz powietrze nad martwymi ciałami poruszało się, drgało przelamane oślepiającym światłem z otwartego nieba.

Teraz to dostrzegł... To motyle. Z martwych ciał, z serc, których bicie ustało, wyfrunęły motyle. Przez całą długą wędrówkę kryły się przy ludzkich sercach, a teraz wlatywały uwolnione. Ich przepiękne skrzydła wypełniały powietrze.

Powolny ruch miliona motyli rozbrzmiewał kruchą, nuconą melodią. Człowiek, który kiedyś był dzieckiem, nasłuchiwał. Rozpoznał ją. Z wolna opadł na ziemię. Ciało zesztyniało, oczy pękły. Z serca, które zatrzymało niestrudzone bicie, wyfrunął motyl.

Krucha, nucona melodia nasilała się, motyle wirowały — rozmigotana, barwna gromada, wysoko nad ziemią i ponad martwymi ciałami, w stronę otwartych niebios.

PŁONĄCY BUKIET

Dzieci z uliczki były drobne, miały okrągłe twarze, białe i jakby w mące. Całymi dniami bawiły się w ciemnym zaułku między domami, a ich donośne głosy słychać było na wszystkich piętrach. Od czasu do czasu ktoś wystawiał głowę z okna i wrzeszczał:

— Zamknijcie się!

Albo spadało jakieś gniewne przekleństwo, ciśnięte w gromadę niczym ciężki kamyk. Wówczas dzieci milkły i zapanowywała tak złąkniona cisza, jakby wydarzył się jakiś wypadek. Z pobliskich ulic docierały odgłosy zewnętrznego świata: kroki spieszących się ludzi, huk tramwajów, radosne trąbienie automobili i rżenie koni — jak gdyby przechodził tamtędy hulaszczy pochód karnawałowy.

Dzieci prawie go nie słyszały. Ich królestwem była uliczka. Ich słońcem było to wyblakłe, oszczędne, które pomiędzy wysokimi domami zagląda na brudny chodnik. To dlatego były takie blade, jakby dorastały w piwnicach.

Na końcu uliczki wznosiła się ściana ze skały. Kiedyś miał tam powstać nowy szary dom, lecz wciąż była to tylko góra, wielka podwórkowa atrakcja. Dzieci wspinały się po skałę, zsuwały w dół, a czasem turlały, po czym lądowały głową na chodniku. Wzdłuż jednej ściany zbudowano drewnianą rynną, podczas deszczu woda spływała po niej do ścieków. Także w zwykłe dni z rynsztoka na ulicy wyżej ściekała brunatna woda. Tu żeglowały i tonęły korkowe stateczki i grubo ciosane, drewniane floty. Ponadto dzieci zanurzały ręce i wkładały do wody kamienie, tworząc w ten sposób małe wodospady. W szczelinach skały tkwiła ziemia, a w jednym miejscu rosło karłowate drzewo. I gdy drobne, jasne listki jakimś cudem wystrzeliwały z gałązek, dzieci z uliczki wiedziały, że nadeszło lato.

To lato było gorące i duszne. Wszystkie okna w kamienicach stały otworem. Dzieci bawiły się i krzyczały. Biegały boso i bez nakrycia głowy. Pod jednym z okien stał szlifierz i ostrzył noże. W ulicze zawsze coś się działo. Czasem przychodził dziadek z pozytywką. Dzieci szły za nim na podwórze, ustawiały się w kółko i słuchały. Brzęcząca pozytywka wygrywała marsze i walce. Dzieci obejmowały się wtedy w pól i podskakiwały jak niezdarne zwierzątka. Muzyka miała nad nimi władzę. Innym razem przyszła gromada kobiet z Armii Zbawienia¹. Śpiewały piękniej niż pozytywka i miały na sobie śmieszne, błękitne kapelusiki z czerwonymi wstążkami. Ale gdy któraś z kobiet zaczynała się modlić za dzieci z podwórka, te robiły zażenowane miny i spuszczały powieki na zuchwałe oczęta, które niejedno już widziały na tym brudnym świecie.

No i ten szlifierz, którego się tak bały. Ostrzył noże kuchenne z tak surową miną, jakby to były narzędzia zbrodni. Zgrzyt z kręcącego się kamienia szlifierskiego posyłał przyjemne dreszcze przez kręgosłup. Panna Inga, siedząca przy otwartym oknie na parterze, prawie równo z ulicą, podała mu niewielki nożyk.

— Rozrywam nim nici — powiedziała. — Chcę, żeby był naprawdę ostry.

Dzieci zgromadziły się dokoła. Był pośród nich wysoki, chudy, czternastoletni chłopiec. Miał na imię Benjamin, a jego matka mieszkała od podwórka. Mimo że Benjamin

¹Armia Zbawienia — międzynarodowa organizacja dobroczynna, a także międzynarodowe chrześcijańskie wyznanie protestanckie. [przypis edytorski]

był dużo starszy od reszty, zawsze bawił się na ulicy. Coś było z nim nie tak. Niektórzy mówili, że jako dziecko uderzył się w głowę. Ciało miał długie i sprawne, ale umysł wciąż niedojrzały. Niczego nie potrafił się nauczyć. Ale był uprzejmy i miły. Teraz śledził, jak kręci się kamień szlifierski. Jego oczy były jasnoniebieskie i zadziwione. Rzuciły płochliwe spojrzenia.

— Wyglądasz, jakbyś się bał — odezwał się szlifierz i zatrzymał kamień.

Benjamin się wycofał. Zawsze ktoś musiał do niego coś mówić, żartować. Dzieci tak samo, ale bardziej bał się dorosłych. Kamień szlifierski ruszył na nowo.

Benjamin usiadł na schodach. Teraz krawcowa wyszła na zewnątrz, żeby odebrać swój nożyk i zapłacić. Była to młodzianka kobieta, ledwie dwudziestoletnia, ale jej chód był rozkołysany i ciężki. Spodziewała się dziecka. Zwisająca sukienka nie kryła niekształtnej figury. Pomachała Benjaminowi, a ten natychmiast ruszył za nią. W małym pokoiku postawiła na stole dwie filiżanki.

— Dam ci kawy — powiedziała.

W dłoni trzymała nóż. Nagle sobie o nim przypomniała. Chudym, białym palcem przesunęła po ostrzu. A potem szybko schowała narzędzie do pudełka na stole.

Benjamin śledził jej ruchy radosnym wzrokiem. Na całej ulicy tylko krawcowa była dla niego miła. Być może sądziła, że cała reszta gardzi tak samo tym biednym chłopcem jak nią. Z niej także się naśmiewali, na jej widok wzruszali ramionami. W ten sposób z jej własnej nieszczęsnej sytuacji narodziło się współczucie dla malca.

Dzieci z uliczki miały zabawę, którą wymyśliły specjalnie dla Benjamin. Otaczały go kółkiem, a jedno z nich wołało:

— Benjamin, zrób głupią minę!

Dla Benjamin nie było nic prostszego. Zezował, otwierał usta jak zazwyczaj, a ręce trzymał bezradnie przed sobą. Wyglądał idiotycznie. Dzieci wiwatowały i szczypały go.

Inga to zauważyła i gdy widziała, jak chłopiec stoi w kółku, serce jej pękało, jak gdyby to w nią trafiały drwiny. Z Benjaminem mogła rozmawiać o swoich lękach i zmartwie- niach. Mieszkała u starszej krewnej, która całymi dniami usługiwała po domach. Dlatego Inga z rzadka miała z kim rozmawiać. Klientki, przeważnie kobiety z pobliskich kamie- nic, przychodziły poprawić tanio stare spódnice, ale na nią nie zwracały uwagi. Rozmowa z Benjaminem stanowiła dla Ingi ulgę, choć on tak niewiele mówił. Ale był wrażliwy na jej samopoczucie. Gdy płakała, jego oczy wypełniały się łzami. Gdy się śmiała, on także się śmiał. Kobieta pragnie mieć pieska do głaskania albo dziecko do gaworzenia. Benjamin był zarówno jej pieskiem, jak i dzieckiem.

— Zamocz sobie — powiedziała i podsunęła mu miseczkę z chlebem.

Pokoik, w którym siedzieli, był mały i duszny. Na maszynie przy oknie i na stole leżały stare ubrania zalatujące stęchlizną. Żelazne łóżko z materacami i poduchami wsunięto w kąt; w innym stała szafka, a na niej lustro z matowym, tajemniczym szkłem.

Na szafce, pośród portretów i bibelotów, znajdował się także kolorowy wazonik, do którego Inga wetknęła suszone kwiatki i źdźbła. Miał to być prawdziwy ozdobny bukiet. Za każdym razem Benjamin przyglądał mu się z ciekawością. Podobał mu się, ale teraz, w środku lata, gdy drzewko za oknem było całe zielone, bukiet wydawał się suchy i szary.

Benjamin maczał duże suchary w kawie. Puchły w filiżance, aż trudno było je potem schwytać. Inga się do niego uśmiechała. Tu, w jej pokoiku, dziecięce odgłosy wydawały się brzęczące i monotonne. Tak do nich przywykła, że nie zwracała na nie uwagi. Gdy naciskała pedał maszyny, ta hałaśliwie zgrzytała, a powietrze wypełniał jakby śpiew ol- brzymich komarów.

Tego dnia Inga nie miała dużo roboty; zamierzała zabrać Benjamin na wał za mia- stem. Kilka przecznic dalej dzielnica kończyła się trawiastym nasypem, za nim rósł prze- rzędzony las. Można by sądzić, że to tam dzieci powinny się bawić, ale one wołały uliczkę. W sobotnie i niedzielne wieczory szły z rodzicami, ale nie było im tam tak do- brze jak we własnym zaułku. Inga zdjęła fartuch, a na głowę włożyła kapelusz.

— Chodź, Benjaminie — powiedziała jak wcześniej, a on posłusznie wstał.

Ruszyli ulicą za miasto. Powiew wiatru przyniósł ze sobą delikatny zapach liści i trawy. Ścieżka prowadziła w stronę lasu. Na trawie i w rowie nie rosły żadne kwiaty. Wał był

Przyjaźń

Kwiaty

suchy i zakurzony, ale niebo unosilo się wysokie i błękitne, słoneczne promienie trafiały w dół niczym strzały.

— Jak pięknie! — Inga przystanęła.

Zdjęła kapelusz i powachlowała się nim. Jej twarz była łagodna i jasna, a blond loczki powiewały przy skroniach. Palce, w których trzymała kapelusz, były podziurawione przez drobne igły. Ponownie zaczęła iść — nieco pochylona do przodu, jak idzie ktoś niosący ciężar. Benjamin także pochylił się jak stary dziadek, wymachiwał długimi rękami. Lubił przebywać w pobliżu Ingi. Była jak dobra siostra, dawała mu suchary do kawy i miała niski, łagodny głos. Zapomniał o okrutnych dzieciach, usta otworzył z radości i zadowolenia.

Nadjechało auto. Z daleka usłyszeli jego świst, a ponieważ droga była wąska, usunęli się na bok. Ale samochód pędził i tuż przy nich wpadł w poślizg; przejechałby Inge, gdyby Benjamin szybkim ruchem jej nie odciągnął. Mężczyzna za kierownicą gwałtownie zahamował i wyskoczył z auta. Z tyłu miał dużą walizkę, taką, jakiej używają komiwojażerowie. Inga cofnęła się całkiem blada, ale mężczyzna zaraz znalazł się przy niej. Był wysoki, miał beztroską twarz i małe, błyszczące oczy.

— Nic wam się nie stało? — zapytał. I zaraz wykrzyknął: — Ależ to Inga!

— Prawie mnie rozjechałeś — szepnęła.

Benjamin dalej trzymał ją za rękę.

— Dostałem twój list — odezwał się tamten, jego twarz pociemniała. — Oczywiście, że ci pomogę, gdy nadejdzie pora. Żaden ze mnie nicpoń.

Kobieta uczepliła się Benjaminą, cała się trzęsła.

— Nigdy mnie nie odwiedzasz — oznajmiła, na co on wzruszył ramionami.

— Mam tyle do roboty. Ciągłe podróży. Przede wszystkim w interesach. Na co się tak gapisz, smarkaczu? — wybuchnął.

Przerażony Benjamin zamknął usta.

— Pędzę dalej. Czas nie należy do mnie — powiedział komiwojażer. — Ale zaufaj mi. — Odwrócił się od nich i wsiał do auta. Odjechał niczym ryczący potwór, zostawiając za sobą chmurę kurzu.

— Och, Benjaminie — jęknęła Inga. — Dlaczegoś nie pozwolił, żeby to auto mnie przejechało?

Nie miała siły iść dalej. Usiedli w trawie przy rowie. Na niebie ćwierkał skowronek. Wiatr szumiał w suchej trawie. Inga nie unosiła głowy. Między jej palce zaczęły skapywać łzy. Benjamin smutno patrzył przed siebie.

— Byłam szczęśliwą idiotką, zakochałam się w nim. Tym swoim autem przejeżdża na drodze kolejne serca.

Benjamin potrząsnął głową.

— Jest zły — powiedział nieśmiało.

— Masz rację — odparła Inga. — Ale gdy się człowiek zakocha, wierzy, że wszyscy są dobrzy. Nie rozumiesz tego, biedny Benjaminie.

Siedzieli w milczeniu. Mijali ich ludzie. Jakaś dziewczynka pchała wózek z dzieckiem; krzyczało, a ona śpiewała mu na pocieszenia. Elegancki mężczyzna w słomkowym kapeluszu przechadzał się z piękną panią. Przeszła grupa robotników w błękitnych kombinizonach, z łopatami przerzuconymi przez ramię.

Nie wiedzieli, jak to się stało, ale nagle przy tych dwojgu na brzegu rowu usiadła drobna kobiecina. Wyglądała zabawnie. Na głowie zawiązała szal i była tak mała i chuda, że zdawało się, że zaraz zniknie w swej szarej sukience. Spod szala wystawała para przyjaznych, radosnych oczu.

— Tu się chyba płacze — odezwała się gaworzącym głosem, jak mówi się do dzieci. — Luli, nie płaczemy! Radosne miny! Patrz, babinka nie płacze.

Benjamin roześmiał się na te życzliwe słowa.

— Co masz w tobołku? — spytał.

Położyła obok siebie wielki pakunek. Zacisnęła usta.

— A zgadnij!

Benjamin zmarszczył czoło.

— Chleb — wypalił. Zawsze chciało mu się jeść.

Kobiecina potrząsnęła głową.

Spotkanie

— Może zabawki na sprzedaż? — odezwała się Inga, której lzy powoli wysychały.

— Nie do końca.

Kobiecina zaczęła rozplątywać węzeł, z tobołka wysypały się resztki włóczki. Lecz gdy Inga i Benjamin spojrzeli z bliska, zobaczyli, że to maleńkie, zręcznie zwinięte figurki z wełny.

— Patrzcie — powiedziała radośnie kobieta. — To cały świat.

— Gadanie! — zaśmiała się Inga.

Wtedy tamta podniosła laleczki i kręciła nimi przed oczami Ingi i Benjamina, żeby zobaczyli, jakie są śliczne. Niektóre miały na głowach dziergane czapeczki, inne laski w dłoniach, a kilka — maleństwa w becikach w objęciach.

— Gdy byłam tak młoda jak ty, moja mała — zaczęła staruszka — świat wydawał mi się wielki, taki wielki. Kochałam i płakałam, zupełnie jak ty, uwierz mi. Wszystko to tylko marność. Jedni ludzie byli źli, a inni dobrzy, ale głównie źli. I czułam, jak to wszystko pali mnie w piersi, bo serce łomotało, biło i cierpiało. Teraz jest inaczej. Z biegiem lat serce coraz bardziej się kurczyło, nie było w stanie tak mocno walić i płonąć. Zdarzyło się wtedy coś bardzo dziwnego. Świat też się skurczył, stał się maleńki. Tylko dlatego, że żyję od tak dawna, rozumiesz? W końcu uznałam, że jest niewiele wart. Już nie mógł mnie skrzywdzić. Jakbym się z niego wydostała. A ponieważ muszę mieć jakieś zajęcie, zrobiłam te wełniane laleczki. To moje wspomnienia, rozumiesz? Wszystko, co tak mnie bolało. Teraz trzymam je w tobołku. Są tylko wełnianymi lalkami. Gdy człowiek dożyje mojego wieku, rozkłada wspomnienia jak te lalki i może się nimi bawić. Zobaczysz, bidulko, kiedyś nie będziesz się przejmować tym, który cię zranił. Będzie on tylko wełnianą laleczką. Puf!

— Dziwnie mówisz — odezwał się Benjamin, który przysłuchiwał się ze skrzywioną miną.

— Mówisz tak, bo nic nie rozumiesz. Patrz.

Kobiecina rozłożyła lalki.

— To ja w czerwonej spódnicy. Nie wyglądałam wtedy jak teraz, to pewne. Na plecach mam warkocze. A tu jest chłop, któremu służyłam, i jego żona. Jest podły, trzyma laskę. Ale żonę zrobiłam ładną, bo była dobra. A tu chłopak z młyna. Jest biały na twarzy jak duch. Kochałam go. Och, jakże serce bolało. Chciałam się utopić. Widzisz, panienko, jest tylko wełnianą lalką. Po co więc cierpieć? Gdy będziesz tak stara jak ja, też będziesz siedzieć z tobołkiem w dłoni i trudno będzie ci pojąć, po co było w życiu tak cierpieć.

— Być może to prawda — przytaknęła Inga.

— Oczywiście, że prawda. A tu jest dzidzius, którego urodziłam. Luli, luli! Taki malutki. Teraz jest duży; nie wiem, gdzie się podziewa. Taka to wdzięczność. Najpierw wygrzać się u mamy, aż rozwinie skrzydła, a potem odlecieć. Ale lubiłam go, jak był mały, dlatego jest ze mną w tobołku.

— A ta? — Benjamin chwycił jedną laleczkę.

Kobiecina wzięła ją od niego i podniosła.

— Widzicie, ta — powiedziała teraz uroczystym tonem. — To sam Bóg Ojciec. To on stworzył ludzi, więc musiał tu być. Dziwnie jest trzymać go w tobołku. Zrobiłam go większego niż pozostałe, ale wydaje mi się, że i tak jest niezadowolony. Inne lalki obwiniają go o wszystko, co im się przydarzyło. Na pewno nie chciał, żeby poszło aż tak źle. Dlatego cierpi. Świat, który stworzył, oszalał. Sądził, że będzie piękny. Pewnego dnia moje lalki go rozszarpią. Mają nadzieję, że wtedy wszystko będzie dobrze. Ale wtedy też nie będzie dobrze. Ech!

Westchnęła i zaczęła z powrotem wiązać tobolek.

— Rozweseliłam cię, panienko. — Oczy błysnęły jej pod szalem. — Żegnajcie.

Zanim się obejrżeli, kobiecina była już na drodze i pospiesznie ruszyła w stronę miasta.

— To tylko lalki — powiedział Benjamin, nieco zdziwiony. — Na pewno umiesz zrobić podobne.

— Tak — odparła Inga przeciągle. — Być może kiedyś zrobię podobne.

Wyobraziła sobie siebie jako staruszkę z tobołkiem w dłoni. I zaraz chwyciła się za serce. Zabolalo, świat i ludzie byli wciąż tacy żywi. Benjamin i Inga ruszyli powoli do domu.

Lalka, Wspomnienia,
Obraz świata, Kondycja
ludzka

Bóg, Obraz świata

Pewnego letniego wieczora Benjamin miał właśnie wejść do bramy, gdy zobaczył mężczyznę opartego o okno Ingi. Mówił coś ostrym, szorstkim głosem. Benjamin go nie rozumiał. Ale mężczyzna był wściekły. Kiedy chłopak do niego podszedł, zobaczył, że to komiwojażer. Z pokoju dosłyszał rozszlochany, błagający głos Ingi. Benjamin zbliżył się. W świetle padającym z okna pojawiła się nagle jego twarz o wychudzonych policzkach, dziwnych oczach i otwartych ustach. Mężczyzna, który w tym momencie się odwrócił, wydał z siebie okrzyk zaskoczenia i przerażenia; natychmiast odszedł. Po raz pierwszy Benjamin kogoś wystraszył.

Inga podeszła do okna. Zamyślona spojrzała na Benjamina, po czym wysunęła białą rękę pokłutą igłami i pogłaskała go po włosach. Tego wieczora zasnął szczęśliwy, a we śnie nadal czuł, jak głaszczce go chłodna dłoń.

Lato stawało się coraz bardziej upalne. Uliczkę pokrywał kurz. Brudna woda wysychała w drewnianej rynnie i cuchnęła. Dzieci bawiły się, a ich głosy były często rozgniewane. Klóciły się i biły. Wyśmiewały Benjamina.

Pewnego upalnego dnia chłopiec zobaczył w oknie białą twarz Ingi. Zdawało mu się, że go woła, więc pobiegł do niej. Ale gdy wszedł do środka, nie czuł się mile widziany. Skinęła tylko na niego. A gdy tak na nią patrzył, szybko ukryła coś za plecami. Był to naostrzony przez szlifierza nóż, ale tego Benjamin nie zauważył. Kobieta cała się trzęsła, jakby zmarzła. Wówczas Benjamin też chciał zapłakać, poczuł chłód.

Chciał zrobić coś, by rozweselić Inge — ale co? Poszła w kąt pokoju, a on stanął przy szafce i jak wiele razy wcześniej przyglądał się ususzonemu bukietowi w malowanym wazonie. Nagle przyszła mu do głowy myśl. Rozweseli Inge czymś naprawdę pięknym. Bukiet był okropny, szary i zakurzony. Ale jeśli go podpali, ten zapłonie i będzie świecił piękniej niż świeże wiązanki w pobliskiej kwiaciarni.

Inga ścisnęła nóż. „Och, moje serce”, myślała. „Nie możesz czekać, aż skurczysz się jak serce tej kobieciny, a twój ukochany zamieni się w wełnianą lalkę. Cierpisz, dokuczasz. Najlepiej, jeśli przerwę twoje głupie łomotanie”. I uniosła nożyk.

Ale w tym momencie usłyszała za sobą trzask. Szybko się odwróciła. To bukiet na szafce płonął, a Benjamin patrzył na nią z uśmiechem. Żółty płomień uderzył o ścianę, rzucił blask na matowe szkło lustra, aż błysnęło. Był to przezroczysty, jasny płomień, w środku kurczyły się i węgliły łożyczki suszonych kwiatów. Teraz cały bukiet świecił i trzeszczał od ognia.

— Czy nie jest piękny? — spytał Benjamin.

Nożyk Ingi upadł z brzękiem na podłogę. Chwyciła gruby koc, rzuciła go na szafkę i ugasiła ogień. Skarciła Benjamina, ale strach wybudził ją z uśpienia. „Ten biedny chłopiec uratował mi życie”, pomyślała, „i pewnie tak miało być”.

Benjamin bezradnie rozejrział się dokoła, spostrzegł nóż na podłodze. Pochylił się, żeby go podnieść.

— Mogę go dostać? — poprosił.

— Tak — odparła Inga powoli.

Z ulicy dobiegały głosy dzieci. Pewnego dnia i jej dziecko będzie się bawić na dworze. Dziecko o bladej twarzy i niezdatnych ruchach. Nie mogła tego powstrzymać. Życie przejdzie przez nią jak świecący ogień, a serce dalej będzie płonąć i się lękać, aż pewnego dnia się skurczy, a jej mrocznemu spojrzeniu minione lata objawią się tak nikłe, że trudno jej będzie uwierzyć, dlaczego tak bardzo cierpiała.

Benjamin zabrał nóż i pobiegł wystrugać łódkę z kory.

PANA LUNDHOLMA NIE MA

Wracając nad ranem z radosnego przyjęcia, przewrócił się na schodach i uderzył. Znalazł go stróż, zaniósł do mieszkania i teraz, gdy przez szparę w zasuniętej roletce wdzierała się poświata, leżał na łóżku.

Kobieta, owinięta szarym szalem, siedziała zmarznięta na krześle. Nie była ani młoda, ani stara, miała rzadkie blond włosy i wystraszone, jasnyniebieskie oczy. Od lat była gosposią zmarłego. Podciągnęła rolety, a przez okno wpadło światło. Promień słońca zatańczył przy brzegu łóżka i zamigotał w szklance z wodą na szafce nocnej. Podeszła bliżej i spojrzała na zmarłego. Był czterdziestoletnim mężczyzną. Za życia jego twarz była ru-

Kwiaty, Ogień

Śmierć, Trup

miana i zdrowa, a usta często się uśmiechały. Teraz policzki poblady, a mocno zaciśnięte wargi miały się już nigdy nie unieść w radosnym grymasie. Przyszedł doktor i stwierdził zgon. Życie z niego uleciało, choć leżał tak spokojnie, jakby tylko głęboko spał. Było to bardzo dziwne.

Kobieta, prawie tak samo blada jak zmarły, pochyliła się nad nim, lecz wzdrygnęła na dźwięk dzwonka do drzwi. Mechanicznie przeszła przez salon do przedsionka i wyjęła ze skrzynki kilka listów. Widniało na nich jego nazwisko: Pan Leonard Lundholm. Odłożyła koperty na biurko. Nowy dzień już naprawdę się zaczął. Ulicą przejechał tramwaj, przez co szyby w oknach lekko zadrżały, jakiś samochód głośno zatrąbił, dzwon z pobliskiego kościoła uderzył dziewięć razy. Naprzeciwko stawiano nowy budynek. Robotnicy w błękitnych koszulach pracowali łomami i łopatami, jęczał podnośnik, cegłę kładziono na cegle. Niebawem nowy dom będzie gotów. Wprowadzą się tam ludzie, rodzina za rodziną, wieczorami w oknach zapalą się światła i będzie można dojrzeć głowy pochylone nad biurkami lub bawiące się dzieci. Odwróciła wzrok od okna. Wobec życia i ruchu na ulicy cisza w pokoju zmarłego wydała jej się podwójnie ciężka i niepokojąca. Ktoś zapukał do kuchennych drzwi. Gospościa poszła otworzyć. Stał tam szewc z nowo podbitymi pantoflami w ręku.

— Dzień dobry — przywitał się promiennie. — Widzi pani, obiecałem panu, że buty będą gotowe na dziś rano. Oto i one, gotowe na spacer w ten pogodny dzień. Ależ tak! Bardzo proszę, panienko. Żółte buty to delikatna sprawa, ale pan jest wytworny i zawsze dba o to, by mieć ładne obuwie.

Przez chwilę wahał się, zdziwiony, że ona nie przyjmuje butów.

— Nie muszę teraz przyjmować zapłaty — dodał szeptem — jeśli pan właśnie wyszedł.

Wręcz włożył jej pantofle w dłonie. Przyjęła je bez słowa. Następnie weszła do cichego pokoju i postawiła buty przy krześle, gdzie zwykła je stawiać nad ranem po wyszczotkowaniu. Zrobiła to automatycznie, bez zastanowienia. Jedno życie się przerwało, ale ten, kto nadal żyje, nie potrafi od razu pojąć, co to oznacza. Być może przez kolejne dni będzie ustawiać buty i powtarzać te wszystkie drobne rytuały, jak zwykle. Umysł nie pojmuje. Serce nie chce zrozumieć. Dłonie marzną, gdy nie wykonują tych wszystkich codziennych czynności ogrzanych od życia.

Zerknęła na łóżko i szczerzej otuliła się szarym szalem. Kochała zmarłego. Być może on o tym wiedział. Nigdy się nią nie przejmował, lecz tęskniłby za nią, gdyby pewnego dnia zniknęła — wiedziała o tym. Jego dom wypełniała jej cicha, cierpliwa miłość. Pragnęła zrobić dla niego wszystko, niczego nie oczekując w zamian. Gdy w południe przekręcał klucz w zamku, jej serce zaczynało bić mocniej. „Idzie! Już idzie!”, myślała, zupełnie jak młoda dziewczyna czekająca na ukochanego. Lecz on, jeśli zajrzał do kuchni, widział, jak kobieta w średnim wieku o gładkich włosach i bladej twarzy krząta się przy garach. Ach, gdyby tak była młoda i piękna. Wkrótce jednak przestała nawet tęsknić za młodością. Wystarczyło jej, że jest blisko niego i że kocha go, bez wzajemności.

Przemykała w tę i z powrotem po pokoju, nie zbliżając się do łóżka. Należy wysłać telegram do jego krewnych, żeby przygotowali pogrzeb. Ale nie potrafiła podjąć decyzji. Wróciła do kuchni. Zapomniała zamknąć drzwi po wizycie szewca. Z przerażeniem dostrzegła, że ktoś wszedł do środka. Był to wysoki, zwałisty mężczyzna w poszarpanym ubraniu, w dodatku za małym, tak, że ramiona wyginały się i odstawały po obu stronach. Głowę miał dziwacznie małą w porównaniu z wielkim ciałem, twarz rumianą i jowialną, a spod wypukłych powiek spoglądała para błękitnych oczu.

— Dzień dobry! — odezwał się głośno i serdecznie. — Czy zastałem pana Lundholma?

— Wszedł — odparła krótko.

Sądziła, że na tę wiadomość mężczyzna sobie pójdzie, ale ku swemu zaskoczeniu patrzyła, jak ten wyciąga krzesło, spokojnie siada, rozstawia szeroko nogi i opiera ręce na kolanach.

— W takim razie poczekam, aż wróci. Proszę się nie obawiać, panienko, nie jestem groźny i nigdy niczego nie ukradłem. Tak się składa, że chciałem dziś spotkać pana Lundholma.

I tym razem nie była w stanie powiedzieć, że pan Lundholm nie żyje. Przed chwilą skłamała. Jeśli teraz nagle powie, że jej pan nie żyje, ten pomyśli, że znów go okłamuje.

Miłość niespełniona,
Kobieta

— Bardzo proszę — wydusiła wbrew swej woli.

Rozległ się dzwonek do drzwi, wyszła z kuchni. Jakiś mężczyzna przemierzył pospiesznie przedpokój i jak ktoś, kto jest u siebie, wszedł do salonu. Był to przyjaciel pana Lundholma. Zaniepokojona, co teraz się wydarzy, gosposia podreptała za nim.

— Śpi, jak miemam — stwierdził przyjaciel, zanim zdążyła się odezwać, po czym odłożył kapelusz na stół. — Poczekam. W nocy nieźle się zabawiliśmy. Szkoda, że nie widziała pani Leonarda.

Skinął radośnie w jej stronę, nie zwrócił uwagi na jej wystraszoną minę i dłoń uniesioną w błagalnym geście.

— Podczas kolacji Leonard wygłosił przemowę, cała sala skręcała się ze śmiechu — ciągnął. — Doprawdy świetna, dowcipna mowa. Siedziałem tam i cały czas myślałem o tym, że powinien być zostać kimś więcej niż finansistą. Taki wybitny mówca! Czy i pani nie wolałaby, by był kimś znaczącym, kto rządzi i decyduje w imieniu państwa i ludu? Bo on by chciał rządzić i decydować. To błogosławieństwo. Obiecał mi pomoc z jednym wekslem, znalazłem się w tarapatkach. Ale dopóki mam jego... Jest najmilszym i najlepszym przyjacielem. Na pewno pomoże mi z wekslem. Do tego taki wspaniały dzień! Och, chyba jeszcze nie wytrzeźwiałem, albo to dlatego, że tak się cieszę. Na przyjęciu była pewna młoda dama. Bardzo piękna — prawdziwa róża. Zakochała się w Leonardzie, nietrudno było to dostrzec. Trzymam za nich kciuki. To bogata dziewczyna. Ale czy nie powinien już się obudzić? Co pani na to?

Gosposia mruczała pod nosem, jakby ćwiczyła przed głośnym i pewnym wypowiedzeniem słów:

— On nie żyje. On nie żyje.

Trudno było to powiedzieć temu młodzieńcowi, który zaledwie kilka godzin wcześniej pożegnał się z denatem, po tym, jak ten przez cały wieczór bawił gości wokół wielkiego stołu. W końcu przyjaciel zrozumiał. Gosposia widziała, jak strach z wolna zapala mu się w oczach, jak otwiera i zamyka dłoń, jakby chciał coś przytrzymać.

Podeszła do drzwi.

— Tu leży.

— Leży? — Rozedrgany mężczyzna popatrzył na nią. — Ach, racja, głupiec ze mnie. Nie żyje. Już nigdy nie wstanie. To niedorzeczne. A chwilę temu... I ten piękny dzień.

Lecz gdy ona chciała go zaprowadzić do sypialni, wzdrygnął się.

— Nie mogę — prawie krzyknął. — Przecież nie żyje. Nie chcę go widzieć. Jest biały, a chwilę temu błyszcząły mu oczy, śmiał się. Nie, nie jestem w stanie na niego patrzeć. I jeszcze ten weksel. Nie mam czasu.

Chwycił kapelusz i wybiegł z pokoju. Przez moment stała zdumiona. Na jej błądą twarz wpełzł cień uśmiechu.

W kuchni dalej siedział tamten mężczyzna.

— Spieszyło się mu. — Wskazał kciukiem w stronę schodów. — Słyszysz pani, jak biegnie. — Pokiwał do niej głową, jakby już byli starymi znajomymi. — Chyba jeszcze chwilę poczekam — ciągnął i rzucił znaczące spojrzenie na dzbanek z kawą na kuchence.

Nie wiedziała, dlaczego nie może powiedzieć, co się wydarzyło i że czekanie tutaj nic nie da. Bała się go, poza tym miała wrażenie, że może jej coś opowiedzieć; miał w sobie jakąś tajemnicę. W pewnym sensie dobrze mieć przy sobie żywego człowieka. Czuła w ciele śmiertelny chłód. Nie mogąc się zdecydować na nic innego, naląła mu dużą filiżankę kawy, a sobie małą. Poprawił się na krześle i pił z zadowoleniem.

— Od dawna panienka tu pracuje? — spytał.

— Tak — odparła krótko.

— No, powiem pani, że jestem jakby przyjacielem z dzieciństwa pana Lundholma. — Spostrzegł, że się wzdrygnęła, więc mówił dalej: — Dziś już nie jestem taki elegancki. Ale przez długie lata powodziło mi się. Teraz zmarniałem. No. Widzi pani, mam do pana Lundholma pewną drobną sprawę. Jak tylko usłyszysz, na pewno mi pomoże.

Przyglądała mu się w napięciu. Już nie chciała, żeby wyszedł.

— Jestem synem dzierżawcy w majątku jego ojca. Leonard i ja jesteśmy rówieśnikami, bawiliśmy się razem. Był takim małym ślicznym chłopcem. Oczy błyszcząły mu jak dwa światełka, a policzki miał rumiane jak jabłuszka. Był zwinny i śmiały. Wdrapywał się na

Strach, Śmierć, Trup

Dzieciństwo

drzewa jak małpka, śmiał się ze mnie, bo ja nie byłem ani trochę zwinny. Byłem tępy i go ubóstwiałem.

Przysunął się bliżej gosposi i zamrugał.

— Pewnie bardzo się nie zmienił. Jaki człowiek w dzieciństwie, taki w dorosłym życiu. A pani, która tu z nim mieszka, dobrze go zna. Czyż nie jest tak, że nie da się go nie kochać?

Aż podskoczyła. Czyżby zajął jej w serce? Lecz on zajęty był własną opowieścią.

— Potrafi być szorstki i nieprzyjemny, nieprawdaż? I potem nagle się uśmiecha tym swoim promiennym uśmiechem, a człowiek ulega, pada mu do stóp. Zrobi dla niego wszystko. Dziwne! Tylko dlatego, że się uśmiechnął. Tak było ze mną. Skłamałem. Nie byłem jego towarzyszem zabaw, lecz jego lokajem, jego podwładnym. Taki był zamysł, że będę jego towarzyszem zabaw, ale nie potrafiłem. On był po to, by go czcić i mu usługiwać. Wysłano mnie do szkoły w niedalekim miasteczku. On wyjechał do większego miasta, do większej szkoły. Spotykaliśmy się w ferie. „Już mnie nie obchodzi”, pomyślałem z butą, idąc mu na spotkanie. Wtedy on się uśmiechnął, wszystko było jak dawniej. Nie był okrutny, ale widząc, jak bardzo go kocham, stał się rozpuszczony i wymagający. On brał, a ja dawałem.

Gosposia znów się wzdrygnęła i chwyciła za serce.

— Przepraszam, muszę pana na moment zostawić.

— Dobrze. Czekam. Mam jedno żądanie. Na pewno mi pomoże.

Kobieta weszła do pokoju zmarłego, zbliżyła się do łóżka i spojrzała na niego z niecierpliwością.

— Czego on chce? — szepnęła. — Dlaczego sobie nie pójdzie? Mówi, że ma jedno żądanie. Przecież opowiada o mnie. To ja byłam twoją poddaną i służącą, ja cię czciłam, załatwiałam za ciebie sprawy, rozpieszczałam. W zamian za twój uśmiech. O, nie! Chyba jednak opowiada o sobie. To bezrozumny człowiek. Wspomina rzeczy, jakby zdarzyły się wczoraj. On dawał, a ty brałaś, tak powiedział.

Podeszła do drzwi. Przez drugi pokój zajrzała do kuchni. Siedział tam i czekał, w czerwonych dłoniach ścisnął czapkę. Wyglądał jak goryl — to pochylone do przodu cielsko i mała głowa.

Przerażona zamknęła drzwi. Miała wrażenie, że nawet do tego cichego pomieszczenia wdziera się nieustępliwe, uparte oczekiwanie tamtego. Cóż to za żądanie? Czy to nie samo życie tam siedzi? To namolne życie z odwiecznym ponagleniem w kieszeni, to, które nie zaznaje spokoju, które podchodzi aż do progu śmierci i od dorosłego żąda tego, co podarowano dziecku. Goryl za drzwiami nie dawał jej spokoju. Nie wiedziała, jak się go pozbyć.

Po godzinie wyszła.

— To trwa — powiedział wesoło. — Rozumiem, że ma dużo pracy. Siedzę tu i myślę o jednym zdarzeniu. Było to latem. Staliśmy na pomoście. Miał na sobie taki śliczny marynarski mundur. Trzymał w dłoni długi kij, znaleziony na plaży. Kawałek od brzegu kołysało się kilka nenufarów. Widzę go, jak dziarsko stoi w kostiumie marynarskim i kijem próbuje upolować kwiaty. Za daleko się wychylił i wpadł do wody. Nie zastanawiałem się. Wskoczyłem za nim. Doprawdy, uratowałem mu wtedy życie, bo gdy tylko wpadł, złapał go skurcz. Twarz mu zbieła. Wyobraża sobie pani? Pocałowałem tę małą, bladą twarz.

Podniósł się flegmatycznie.

— Wyjdę na chwilę. O tej porze muszę zapalić fajkę. Pewnie niedługo wróci.

Wyszedł, a ona pobiegła do okna. Widziała go na dole. Przystanął przed bramą, nabił fajkę i zaczął człapać w tę i z powrotem. Nie mogła się go pozbyć. Będzie czekał w nieskończoność. W jego ostatnich słowach usłyszała nienawiść. Tak, nienawidził przyjaciela z dzieciństwa. To nie była już miłość. Przyszedł, bo go nienawidził, bo kiedyś tak bardzo go kochał.

Ktoś wszedł po schodach. To córeczka stróża; spytała, czy w czymś może pomóc. Gosposia poprosiła, by przez moment posiedziała w mieszkaniu, podczas gdy ona wyjdzie nadać telegram. Wymknęła się kuchennymi schodami, złęknioma, że przed bramą spotka czekającego mężczyznę. Gdy wróciła, z salonu usłyszała głosy. Drzwi były otwarte, a ona dojrzała trzech panów. Powiadomili, że przyszli na zebranie i tu zamierzają zaczekać.

Miłość niespełniona

Miłość, Nienawiść

— Nie mogłam im powiedzieć, że pan nie żyje — szepnęła wystraszona dziewczynka. Gospośia przytaknęła. Sama dobrze wiedziała, jak trudno jest zderzyć żywych z dziwnymi słowami: „On nie żyje”. Z przedpokoju przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Powinien dołączyć — powiedział jeden głos. — Subskrybuje akcje, to oczywiste. To solidny człowiek. Przedsiębiorstwo ma nadzieję, że mi się uda, ale musimy się upewnić co do jego nazwiska.

— Nie jestem taki pewien, czy to dobry interes — usłyszała inny głos. — Ale raz mu pomogłem... Zatem teraz wypadaloby, żeby to on zainwestował. Tak to działa!

— Dziś wieczorem mamy iść razem do Teatru Komediiowego — odezwał się trzeci. — To świetny spektakl. Moglibyśmy się potem wszyscy spotkać na kolacji, by dalej rozmawiać o sprawie.

Weszła gospośia. Przystanąła na progu. Poznali ją i serdecznie przywitani. Spoglądała to na jednego, to na drugiego. Drzwi do pokoju zmarłego były zamknięte. Cieszyła się, uznała bowiem, że w przeciwnym razie usłyszałby, jak tu rozprawiają o tym, w jaki sposób wyciągnąć od niego pieniądze. Widząc ich radosne, żywe twarze, zwrócone w jej stronę, przypomniała sobie z żalem tę białą i nieruchomą — tam w środku. Miała wrażenie, że tego dnia przez wszystkie drzwi życie przepycha się do zmarłego.

— On nie żyje — powiedziała krótko, jedynie powtarzając słowa dźwięczące jej w środku.

Na tę wiadomość zapadła konsternacja. Zaczęli ją wypytywać. A ona musiała zeznawać. Lecz cały czas czytała w ich oczach jedynie: „Teraz pewnie nici z interesu”. W końcu zamknęła za nimi drzwi.

Gdy wróciła do kuchni, siedział tam znów przyjaciel z dzieciństwa. Czyżby coś podejrzewał? Zdawało jej się, że miał smutną, niespokojną minę.

— Być może niebawem będę musiał wyjść — powiedział z ociąganiem. — A myślałem... Najlepiej, jak powiem, o co chodzi.

Rozległ się dzwonek w przedpokoju. Gospośia poszła otworzyć. Uderzył ją zapach eleganckich perfum. Do środka weszła młoda kobieta. Była bardzo piękna, otulona w futro, pod rondem kapelusza promieniały roześmiane oczy.

— Nie byłam tu nigdy wcześniej — odezwała się lekko zażenowana. — Ale od dawna czekam na pana Lundholma. Obiecał, że przyjdzie. Nie byłam pewna, czy ośmielę się wejść na górę.

„To jego pani”, pomyślała gospośia. „Jakaż piękna”. Wezbrała w niej fala niechęci. Z żądy zemsty, pobicia tamtej, powiedziała:

— Proszę za mną!

Elegancka dama ze zdziwieniem ruszyła za nią do pokoju zmarłego. Gdy go zobaczyła, krzyknęła i dłońmi zakryła oczy. W zmroku, który zaczął zapadać, bo dzień już się kończył, biała twarz błyszczała na poduszce.

— Och, jakie to straszne! — szepnęła dama. — Mój ukochany!

Nie była w stanie się ruszyć. Całe jej ciało dygotało. Druga kobieta przyglądała się jej bez współczucia. Myślała surowo: „Wydaje jej się, że go kochała. Ale kochała siebie. Miętko i ciepło, niczym to futro, otulała ją jego czułość. Tylko ja go kochałam, niczego nie chcąc w zamian. Dawałam, a on brał. Zawsze! Zawsze!”.

Piękna dama rozejrzała się po pokoju, jak gdyby chciała wszystko zapamiętać. Nie będąc w stanie podejść do zmarłego, wyszła chwiejnym krokiem i ze schyloną głową — zbyt wstrząśnięta, by o cokolwiek zapytać.

W kuchni nadal czekał tamten mężczyzna. Teraz wyglądało to, jakby faktycznie zamierzał wyjść. Jego wcześniej rumiana twarz zbladła, jakby poczuł się niespokojny albo urażony.

— Nareszcie! — powiedział, gdy zobaczył gospośię. — Proszę mnie posłuchać! — Przysiadł się bliżej jej krzesła przy oknie.

W tym niepewnym świetle jego postać jawiła się niekształtna, napuchnięta. Zdawało jej się, że wypełnia całe pomieszczenie niczym fantastyczne cienie unoszące się na ścianach, gdy wieczorem zapali się świecę.

— Wie pani, ja go kochałem, służyłem mu, wręcz uratowałem mu życie. Pewnego razu wróciłem na ferie z nagrodą. Piękna książka opakowana w błękitny papier. Byłem

nią zachwycony. Nigdy wcześniej nie dostałem nagrody, jak również nigdy później miałem żadnej nie dostać. Rozumie więc pani, jak cenna była to książka. Mieliśmy wówczas trzynaście, czternaście lat. Jak mówię, to było dawno temu. Tak, tak. I proszę sobie wyobrazić, on podarł mi tę książkę. Nie przez przypadek, złośliwie.

Oczy mu błyszczały. Głos był pełen nienawiści.

— Poszedłem mu coś załatwić. Chodziło o drobną, uroczą rzecz z porcelany, przycisk do papieru, który naprawiono, a on mnie posłał, żebym go odebrał. Wróciłem, niosłem go w rękach, potknąłem się o próg, a przycisk rozsypał się na kawałki. On zbladł. Byliśmy w moim pokoju, książka leżała na wierzchu. I on nagle ją chwycił i przedarł na pół, jak gdyby ręce szarpnęły się z wściekłości i nie mogły się opanować. Potem żałował! Przeprosił mnie! A ja — ja powiedziałem, że to nic nie znaczy. Nic nie znaczy! Ha! Nigdy o tym nie zapomniałem. Podarł moją miłość. Pomyślałem, jak zmarnowałem uczucia, nie otrzymawszy niczego w zamian. Ale byłem przebiegły. Powiedziałem sobie w duchu: „Tylko poczekaj! Kiedyś mi się odplacisz. Ten czas nadejdzie, gdy będę w potrzebie. Wtedy do ciebie pójde. Podarłeś moją ukochaną książkę! Teraz zapłać! Daję ci swoją miłość. Oddaj ją z nawiązką!”.

Wyprostował się na krześle.

— I oto jestem. Przyszedłem po zapłatę.

Gospośia wybuchła śmiechem. Nie brzmiał naturalnie.

— Zapłatę! — wykrzyknęła. — Zapłatę za książkę, którą dostał pan jako dziecko. To idiotyczne. I czekał pan przez wszystkie lata, a teraz nie może się powstrzymać i opowiada to mnie, obcej osobie.

Potrząsnął głową na jej śmiech.

— Dlaczego nie miałbym pani opowiedzieć? Wszak jestem w jego domu. Może mu pani to przekazać, jeśli go dziś nie spotkam.

— Ale przecież to było dawno temu — odparła. — Sam pan mówi, że to było dawno temu.

— To „dawno temu” to tylko wyrażenie. Tak się tylko mówi. Tak naprawdę nic nie jest dawno temu. Wszystko jest teraz i tutaj.

Położył dłoń na swej wielkiej piersi.

— Tu w środku mieszka ten mały chłopiec, który raz dostał książkę w nagrodę. Gdyby spotkał teraz swego towarzysza zabaw, tamten zbladłby natychmiast z poczucia winy. Pamięta. Chłopiec, który podarł książkę, bije z wolna w jego sercu i mu przypomina. Nic nie popada w niepamięć. Warto to wiedzieć! Nawet najdrobniejszy czyn. A teraz żądam zapłaty. Nie splancono długu.

— Nie wiem, dlaczego nie wspomniałam o tym wcześniej — odezwała się gospośia i wstała. — Pański towarzysz zabaw nie żyje. Przez cały dzień leżał tam w środku na łóżku.

Śiłac z zaczął się trząść. Zęby mu zgrzytały. Jakby nie mógł znieść myśli o śmierci. Dygotał od stóp do głów, niczym owiany mroźnym wiatrem. Odwrócił się od niej i grzebał w zamku. Znów jej się zdało, że widzi goryla. Drzwi się otworzyły. Jego niezdarne kroki poniosły się echem po schodach. Spieszyło mu się. Życie nie znosi śmierci.

Weszła do pokoju, roztrzęsiona ze zmęczenia i wściekłości. Książka, książeczka, którą dziecko dostało w nagrodę! I on tego nie zapomniał. Przez wszystkie te lata rozmyślał, czekał na odpłatę. Usiadła przy biurku. „A ja pozwoliłam mu siedzieć w kuchni przez pół dnia”, myślała dalej. Bała się go, wyobrażała sobie nawet, że jest samym życiem. Wzdrygnęła się. Czyż nim nie był, w całej swej groteskowości? Takie jest życie, zawsze, zawsze żąda tego, co mu odebrano; woła o zapłatę, namolnie, nedorzecznie. Raz rozrywa się książkę dziecka. Na łożu śmierci jest się rozliczanym. Patrz! Książka zniszczona! Ty to zrobiłeś! To okrutny czyn! Jestem życiem, to znaczy żywym człowiekiem, w którym życie się rodzi i żyje. Chcę z powrotem moją książkę! Chcę cię ukarać za okrutny czyn! Wydaje nam się, że to, co raz zrobiliśmy, popada w zapomnienie, zostaje pogrzebane wraz z nami. O nie! To ty porwałeś książkę. To ty zabrałeś mi serce, trzymałeś je w rękach i odrzuciłeś.

Trzęsła się. Czy coś w pokoju się rusza? Nie. To tylko serce bije jej w piersi. Czego chcieli od zmarłego wszyscy ci żywi ludzie, cisnący się w jego salonie? Każdy miał jakieś żądanie. Jeden chciał pieniędzy. Tamta pocałunków i objęć! Kilku chciało podpisu dla pewności. Brać i dawać! Brać i dawać! Nic za nic. Jedyne ona, siedząca przy jego łożu,

Czas, Pamięć

niczego nie żądała. Kochała go cicho i cierpliwie, niczego nie pragnąc w zamian. Niczego! Jej miłość była prawdziwa, nie chciwa — jak tamtych.

Jej dłoń zabłądziła na blat stołu. Odkryła, że przez cały czas trzyma czarny notes. Wysunął się spod bibuły. Od niechcenia nań popatrzyła. I otworzyła na jakiejś stronie. Kilka zdań zapisano pospiesznie pod datą. Drobną, bladą kobietą natychmiast splonął rumieńcem, jakby zapalił się w niej płomień. Zamroczyło ją, lecz czytała: „Pewnego dnia być może ożenię się z moją gosposią. Czemu nie? Ma dobre serce”.

Odepchnęła od siebie notes, jakby ją parzył. Wypełniła ją nagła radość, na moment zapomniała, że mężczyzna nie żyje. „Być może kiedyś...”. Była tak bliska szczęścia. Jej miłość nie miała pójść na marne. Z wdzięcznością spłaciłby ją za wszystkie te lata. Znów sięgnęła po zeszyt. Ta data. To jego urodziny. Pamiętała. Podczas śniadania zobaczył przy swoim nakryciu bukiet różyczek. Pobiegł do niej i uściśnął jej dłonie. Nie miała śmiałości na niego spojrzeć. I wtedy — wtedy pomyślał...

Podniosła wzrok, a jej spojrzenie padło na twarz zmarłego. Zerwała się na równe nogi. Uderzyła ją myśl.

— Ja także, ja także! Chwilę temu chepiłam się. Moja cicha miłość! Moja cierpliwa! Ale wiem, och, czy to nie ja miałam w końcu największe żądanie? Nie wzięłabym, jak ten głupiec w kuchni, pieniędzy. O nie! Wzięłabym serce. Przez te lata oddałam wszystko. Teraz żądałabym tego z powrotem. Zubożałby z tej miłości. Czy mógłby dać choćby jedną tysięczną tego, czego żądam? Wszystkie te ciche, cierpliwe lata jak mnóstwo wielkich i pustych naczyń, które bym mu podała. „Zobacz”, powiedziałabym mu, „napelnij je krwią z twego serca. Oddaj mi! Daj! Daj!”. Teraz mu dobrze. Śpi. Spoczywa nad nim noc. Sama pójdę dalej, poraniona.

Lecz wtedy nagle poczuła nieskończony spokój. Nie zdążyła bowiem przedstawić mu swoich żądań. Wciąż dawała za nic. Zażawionymi oczami ujrzała wielkie, puste naczynia tych lat wypełnione po brzegi czerwonymi różami, jak o zmroku roznoszą wspaniały zapach. To kwitła jej miłość — cicha i cierpliwa, ta nigdy za życia niespełniona.

Miłość

TAJEMNICZA PANI ÖBECK

Pani Öbeck, zamieszkała na drugim piętrze w oficynie wielkiej kamienicy, była chudą, siwowłosą kobietą. Żyła tam od dwudziestu pięciu lat, w tym samym pokoju, na tej samej klatce schodowej. Większość lokatorów znała ją i pozdrawiała. W sklepie naprzeciwko była stałą klientką, podobnie w pasmanterii i w kiosku z gazetami. Rzadko udawała się gdzieś dalej.

Przez lata jej ulica bardzo się zmieniła. Zburzono kilka starych kamienic i postawiono nowe. Na parterze jednego budynku otwarto kwaciarnię, w innym kawiarenkę. Jednak według pani Öbeck ulica tylko nieznacznie się zmieniła. Szara i wąska! W ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat przejeżdżał tędy niekończący się strumień dorożek i aut. Śmierdziało benzyną i dymem. Latem zieleniły się drzewa na niewielkim skwerze w pobliżu. Stał tam kościół. Wszystko zebrano w jednym ciasnym miejscu: kościół, sklepiki, ulicę. Małe miasteczko w środku wielkiego miasta! Bukieciak ludzkich losów, niezliczoną ilość razy rozerwanych i na nowo wsadzonych w szare i żółte wazony kamienic.

Rankiem widywano panią Öbeck, jak przecina ulicę z dzbankiem na mleko w dłoni. Miała na sobie czarną suknię i szal na ramionach. W sklepie, gdzie dziewczęta z opaskami we włosach i w białych fartuszkach odmierzają mleko, było o tej porze dnia całkiem tłoczno. Panie z oficyny przywitały się uprzejmie z panią Öbeck, na co ona tylko skinęła. Miała bladą twarz, pozbawioną jakichś szczególnych rysów, oczy jakby zapadłe w oczodołach — nie dało się uchwycić jej spojrzenia. Już same oczy, szare, otoczone cieniami, świadczyły o pewnej tajemniczości i małomówności. Wrażenie to wzmagало się, gdy mówiła lub robiła jakiś gest. Na żadne pytanie nie odpowiadała wprost. Jeśli zapytano zwyczajnie, jak się ma, odzywała się z dziwnym uśmiechem:

— Wszystko w porządku! Każdy dzień dźwiga swój ciężar.

Jak to? Czyżby w niewielkim mieszkaniu, gdzie była sama, działo się coś niedobrego?

Gdy ktoś narzekał na marne czasy, pani Öbeck kwitowała:

— Życie jest zaskakujące! Wszystko się zmienia. Być może czyni postępy.

Jej dłonie, białe i żyłaste, wyglądały na bezbronne. Spodziewano się wręcz, że dzbanek z mlekiem wysunie się z nich i rozbije o podłogę. Miała w zwyczaju tajemniczo kręcić głową na wszystko, o czym rozmawiano w sklepie albo na schodach, jakby wiedziała o czymś, o czym za nic w świecie nie chce opowiadać. Zawsze mówiła cicho, szeptem, tak że człowiek mimowolnie nasłuchiwał, myśląc: „Teraz to powie!”. Jej tajemniczość stała się porzekadłem na podwórku, ba, w całej dzielnicy. Chcąc komuś dokuczyć, mówiło się:

— Jesteś tajemniczy jak pani Öbeck!

Oznaczało to, że dana osoba po prostu nie ma nic do ukrycia.

Pani Öbeck miała dwa schludne pokoiki i kuchnię, śliczną jak w domku dla lalek. Nad kanapą w przedsiönku wisiały dwie powiększone fotografie; jedna przedstawiała zmarłego męża, który pracował jako urzędnik niższego szczebla w miejskim urzędzie, druga — pasierba. Mężczyzna był wdowcem, a pani Öbeck jego drugą żoną. Pasierb zmarł pół roku wcześniej w innym mieście.

W tych pokojach pani Öbeck pędziła swe samotne życie. Nie wiedziała, że uważa się ją za tajemniczą. W ogóle niczego nie trzymała w tajemnicy. Każdy jej dzień był taki sam jak inny. Niczym szare krople zatapiał się bez śladu w piachu czasu. Mimo to wciąż miała jakieś zajęcie. W milczeniu przemierzała pokoje, polerowała, porządkowała. Na błyszczących powierzchniach nie sposób było dojrzeć choćby pyłek kurzu. Jedzenie przygotowywała skromne, lecz smaczne, i nakrywała dla siebie w salonie. Wieczorami zasiadała w fotelu, dziergała jakiś nowy szal albo naprawiała płócienne obrusy. Lampa rzucała okrąg światła wokół fotela, świeciła prosto na chude, białe dłonie. W kącie tykał zegar. Godziny wybijał za pomocą głośnych uderzeń, jak gdyby jakiś ptaszek wystawiał z gniazd lebek i pokrzykiwał.

Czasem brała książkę. Na półce trzymała kilka starych powieści dla dziewcząt. Nadal ją bawiły. Były w nich niewinne przygody, radosne zwierzenia, ledwie otarte łzy, salwy śmiechu. Wzruszały ją, nawet się uśmiechała. To tylko baśnie, jakie się opowiada. Z pewnością nie są prawdziwe. Ona nigdy nie przeżyła przygody, z powodu której człowiek się rumieni. Wysłała za męża za radą rodziców. Pasierb Rolf miał wówczas piętnaście lat, był dużym chłopcem, który nie potrzebował matczynej opieki. Lata mijaly, skapywały, kap, kap. Marzenia, jakie mogła mieć jako dziewczynka, zdusiły się w tej z wolna sunącej codzienności. Nic w tym niezwykłego, że życie tak wygląda. Niektórzy chwytają się przygód i galopują z nimi ku mirażom w oddali. Inni, ci, którzy zostają, nie dostrzegają ich. Wra- stają w kilka cichych pokoi, z okien widzą przechodzących po ulicy ludzi.

Pani Öbeck krążyła po pokojach w czarnej sukni, schludna i elegancka, jak gdyby oczekiwała gości. Nikt jednak nigdy do niej nie przychodził. Nie miała przyjaciół, a znajomych nie prosiła na wizyty. Więc o niej zapomnieli.

Oba pokoje wychodziły na podwórze. Otaczała je kamienica o wielu błyszczących szwach. Pani Öbeck mogła zajrzeć do innych mieszkań. Ludzie czymś się zajmowali. Gdy otworzyła okno, słyszała głuchy gwar. Wszyscy mieli taką nieprzejednaną żądzę mówienia. Zaglądała do ludzi z pewną ciekawością. Tam młoda kobieta z dzieckiem na rękach chodzi w tę i z powrotem. W mieszkaniu wyżej młoda para siedzi przy stole; od czasu do czasu zbliżali do siebie swe twarze i się całowali. Pani Öbeck zdało się, że wyglądają jak kwiaty w parkowej rabatce, lekko kołysane przez wiatr. W jednym oknie dziewczyna zmywa naczynia, rękawy bluzki podwinęła za łokcie. Podśpiewuje i nuci. W innym starszy mężczyzna nabija fajkę.

Pani Öbeck wszystkich znała. Spotykała ich na schodach albo w sklepikach. Jeśli miała jakąś tajemnicę, to być może to, że lękała się ludzi. Czasem na ulicy dopadało ją uczucie, że idzie pośród strasznych, kolosalnych stworzeń. Otwierały olbrzymie paszcze. Ściany drżały od ich śmiechu, a gdy spojrziała w dół, dostrzegala ich tupiące łapy. Ludzie byli jej tak obcy, że czuła, jak kurczy się przy nich do rozmiaru małego zwierzątka — szarej myszki, która ucieka, by jej nie rozdeptano. Dopiero po powrocie do swych pokoi czuła ulgę. Otaczały ją bezpieczne ściany, a meble spokojnie stały z wypolerowanymi, radosnymi twarzami.

Sposób, w jaki wymijająco odpowiadała na proste, przyjazne pytania, jej — zdaniem reszty — dziwny, tajemniczy uśmiech to jedynie naturalne następstwo tej fantazji na temat głośnych i tupiących olbrzymów. To lękliwość, nie tajemniczość. I kiedy wreszcie

Tajemnica

Samotność, Kondycja
ludzka

Sąsiad, Strach

przydarzyło jej się coś, co faktycznie nadało jej tajemniczości, inni nie zauważali różnicy. Nadal z niej żartowali, jak wcześniej.

Pewnego dnia zadźwięczał dzwonek do drzwi pani Öbeck. Dźwięk przeszył całe mieszkanie, złowieszczo niczym alarm. Pani Öbeck aż podskoczyła w przedsionku. Tak rzadko ktoś dzwonił, a gdy otwierała drzwi, zazwyczaj był to jakiś żebrak. Ale nawet ci przestali dzwonić, ponieważ z rzadka cokolwiek dawała. Tym razem poszła otworzyć. Stały tam dwie kobiety. Jedna z nich — młoda i piękna, druga była drobną babinką o błyszczących oczach i długim nosie.

— Czy pani Öbeck? — odezwała się starowinka.

Gdy zaskoczona pani Öbeck przytaknęła, weszły do środka.

— Mam bardzo ważną wiadomość — ciągnęła tamta. — Możemy wejść?

Pani Öbeck nie mogła im tego odmówić, choć czuła się przerażona. Weszły więc do niewielkiego pomieszczenia, gdzie nad kanapą wisiały powiększone portrety męża i pasierba.

— Boże, dopomóż. Przecież to on! — odezwała się starsza skrzeczącym głosem.

Pani Öbeck odwróciła się, jak gdyby podejrzewała, że ktoś trzeci wszedł niespodziewanie, lecz oczy starowinki utkwione były w portrecie pasierba. Szturchnęła młodą w bok.

— Opowiadaj!

— Proszę usiąść! — wydukała pani Öbeck.

Wyciągnęła piękne, wypolerowane krzesła. Najchętniej posadziłyby je obie i uciekła. Ale młoda kobieta zaczęła właśnie długą opowieść. Nie była to powieść dla dziewcząt. Różowe obłoki przygód, które pani Öbeck dostrzegała, otwierając książki przy regale, szybko zmieniły się w burzowe chmurzyska, gdy dziewczyna jednostajnym głosem opowiadała swą historię.

Mieszkała w mieście, które pan Öbeck, pasierb pani Öbeck, często odwiedzał w interesach. Za każdym razem składał jej wizyty. Poznali się na balu. Zakochali się w sobie. Posyłał jej bukietki, zabiegał o jej względy. Była biedną dziewczyną, nie przywykła do takiego traktowania. Od tego wszystkiego kręciło jej się w głowie.

Opowiadając, smutno patrzyła na panią Öbeck. Urodziwa dziewczyna. Oczy jej błyszczały. Nawet teraz, choć była smutna i widać chora, jej oczy miały głęboki blask, jakby płonął przed nimi ogień. Matka, tuż obok, zdawała się być prawdziwą starą wiedźmą. Jej bezzębne usta coś przeżuwały, a chciwe oczy obserwowały wszystko dokoła i oceniały. Pani Öbeck dowiedziała się, że jej pasierb uwiódł to młode dziewczę, a teraz ona oczekuje dziecka. Było to przerażające i takie proste. Rolf zmarł kilka miesięcy wcześniej, a dziecko miało przyjść na świat za jakiś czas. Biedna dziewczyna nie mogła zostać w rodzinnym mieście, gdzie każdy na nią patrzył z litością lub szyderczo. A teraz jej matka uznała, że pani Öbeck, o której pasierb tak dobrze mówił, z pewnością pomoże i da jej schronienie w tym trudnym czasie.

Jak mogły wierzyć w coś tak niedorzecznego? Przerażona pani Öbeck uniosła dłonie w obronnym geście. Nie miała udziału w tym nieszczęściu. To nawet nie jej rodzony syn. Nie miała dzieci, za które ponosiłaby odpowiedzialność.

Wyjrzała za okno. Za szybami naprzeciwko dostrzegła twarze i całe postaci. Sąsiedzi! Wtem ich obecność ją przytłoczyła. Byli tak blisko, jak wtedy, gdy wystraszona umykała przed nimi na ulicy. Nad głową słyszała ich ciężkie kroki. Słyszała, jak tupią pod nią i dookoła niej. Zawsze mieli mnóstwo pytań. Dlaczego mieli nie pytać teraz, gdyby znienacka wprowadziła się do niej młoda kobieta spodziewająca się dziecka.

Dziewczyna przysunęła się bliżej pani Öbeck, błagając o litość. Staruszka przeżuwała bezzębnymi, pomarszczonymi ustami. Wyciągnęła coś z kieszeni i położyła pani Öbeck na kolanach. Był to stosik listów owiniętych czerwoną wstążką. Zdezorientowana pani Öbeck pomacała go.

— To jego listy — odezwała się stara. — Jeśli nam pani nie wierzy, proszę je przeczytać. Jest tam jego nazwisko.

Ani przez moment pani Öbeck nie podejrzewała oszustwa. Dlaczego ktoś miałby kłamać w takiej sprawie. Rozpoznała charakter pisma na kopercie. Sama także dostała kilka listów zaadresowanych w ten sposób. Większość czasu pasierb spędzał w podróży. Prawie go nie znała, pomyślała rozgoryczona.

Portret

Kobiety nie ruszyły się z miejsca. Pani Öbeck rzuciła dziewczynie lęklive spojrzenie. Teraz, gdy rozpięła płaszcz, pani Öbeck dostrzegła zniekształcony kontur jej ciała. Miała na sobie ubogie odzienie. Rękawy płaszcza były zniszczone, odpadła lamówka. Miała wychudzoną, bladą twarz. Może głodowała.

Nagle pani Öbeck poczuła, jak wychodzi z siebie. Wyraźnie widziała trzy kobiety siedzące w pokoju. Młoda, piękna dziewczyna między dwiema wiedźmami! Nie! Ależ pani Öbeck nie jest chyba wiedźmą? Owszem! Pani Öbeck musiała niechętnie przyznać, że także ona, choć nie tak posunięta w latach jak tamta stara, niewątpliwie ma w sobie coś z wiedźmy. Faktycznie wyglądała na okrutną. Trudno było jej zrozumieć, że ta młoda ma odwagę siedzieć tak blisko niej. Jej otoczone cieniami oczy błyszczały głęboko w oczodołach.

Wtem dojrzała, jak ona, stara wiedźma, wyciąga białą dłoń w kierunku dziewczyny. Żeby ją uderzyć? Nie, biała dłoń zatrzymała się na moment z wahaniem, złęknioma, po czym opadła czule na dłoń tamtej, ułożoną na podolku. Węgielki jej oczu zgasły. Dłoń spoczywała, zmęczona i bezpieczna po ukończeniu trudnej drogi ku drugiej dłoni, tej o skórze miękkiej i pozbawionej zmarszczek.

Co się wydarzyło? Pani Öbeck wróciła do siebie, tej siedzącej z dłonią młodej kobiety w swojej. Czyżby nie mogła znieść widoku siebie podobnej do wiedźmy? Nie wiedziała i nie potrafiła tego wyjaśnić. Być może poczuła zapach młodości. Być może samo życie potoczyło się ku niej jak fala, gdy pierś dziewczyny uniosła się i opadła w ciężkim westchnieniu.

Staruszka wstała z zadowoloną miną.

— Pójdę więc. Widzę, że córka jest w dobrych rękach.

Pani Öbeck była bezgranicznie zaskoczona, zostając sam na sam z dziewczyną. Poszła do sypialni. Musiała ochłonąć, zrozumieć, że to prawda, teraz ta młoda kobieta jest całkowicie zależna od niej. Pani Öbeck nie była już sama. Wtem zorientowała się, że nadal trzyma w dłoni paczuszkę z listami. Przerażona popatrzyła na nią. Wiele nie myśląc, włożyła ją do szuflady.

Co dzień widziano panią Öbeck w czarnej sukni i szalu przechodzącą przez ulicę. W sklepiku sąsiedzi ją wypytywali: „Co to za młoda kobieta u pani mieszka?”. Pani Öbeck na nikim nie zatrzymywała wzroku. Przed oczami wirowały jej cienie, kryjąc spojrzenie przed ciekawskimi. „Ta młoda kobieta to krewna”, odpowiadała, „młoda pani, która niedawno straciła męża”. Mówiła o niej „pani”, by powstrzymać kolejne, drażliwe pytania. Gdy pytano panią Öbeck, jak się ma, odpowiadała w zwyczajny, tajemniczy sposób:

— Wszystko w porządku! Każdy dzień dźwiga swój ciężar.

Słowa, dawniej niemające dla niej żadnego znaczenia — wypowiadała je tylko po to, by coś powiedzieć — nabrały teraz podstaw, opierały się na wielkiej tajemnicy, której za nic w świecie nie chciała wyjawiać. Ludzie nie zauważyli różnicy. Uśmiechali się do drobnej, tajemniczej kobiety przechodzącej pospiesznie przez ulicę z dzbankiem mleka w dłoni.

Dni pani Öbeck zmieniły się. Już nigdy nie była sama. Czyjeś stopy chodziły po pokojach. Nie przypominały człapania olbrzymów. Ciche i delikatne krążyły wokół niej. Gdy wieczorem siedziała w pokoju, zdawało jej się czasem, że kroki chcą jej o czymś opowiedzieć. Bezwiednie nasłuchiwała. Pani Öbeck budziła się czasem w nocy. Z pokoju obok słyszała wówczas oddech młodej kobiety. Zakradała się tam ze świecą w dłoni, osłaniając płomień, by tamtej nie zbudzić, i z ciekawością przyglądała się jej twarzy. Zdawało jej się, że stoi przed czymś obcym i niewyjaśnionym. W jej własnych oczach pojawiała się męka. Tak, męczyła się. Ta młoda, śpiąca tak bezpiecznie, jak gdyby leżała w ramionach ukochanego, posiadała coś, czego pani Öbeck nie miała. Szeptem pani Öbeck nazywała to „darem życia”. Dziewczyna wyciągała ręce, i proszę, jedną trzymała się przeszłości, drugą chwytając przyszłość. W ten sposób czuła się bezpiecznie. W ten sposób życie miało swój kontekst.

Pani Öbeck wymachiwała pustymi rękami. Znajdowała się na zewnątrz. Marzyła w tej pustce. Pomieszczenia, które dawniej zdawały jej się piękne, teraz uważała za martwe. Wypolerowane powierzchnie mebli brała za przyjazne twarze, opadała na oparcie fotela, sądząc, że to miękkie ramiona. Myśli te mierzyły jej żalną samotność. Była tak samotna,

Tajemnica

Samotność

że w meblach widziała przyjaciół. Nie zauważyła, że to martwe przedmioty, póki młoda istota, pęczniejąca od nowego życia, nie oparła się o nie.

Pewnej nocy, gdy wróciła do pokoju z płonącą świeczką w dłoni, pani Öbeck wyciągnęła paczuszkę listów. Ostrożnie rozwiązała czerwoną wstążkę. Przekazano jej listy. Dlaczego więc nie miałyby ich przeczytać? Zanurzyła się w kartki. Niebawem rumieniec spłynął na jej szarą twarz, barwiąc policzki. Od czasu do czasu odkładała listy. Czy coś się poruszyło? Nie! Z drugiego pokoju dochodził tylko oddech dziewczyny. Przepelniał przestrzeń łagodnym szmerem, świadcząc o spokojnych uderzeniach młodego, zdrowego serca. Listy napisano w różnych miejscach w kraju, dokąd pasierb pani Öbeck podróżował w interesach. Czasem były krótkie, spisane na arkuszu z nazwą hotelu na górze. Kiedy indziej nie przesypiał nocy i tak list składał się z wielu kartek.

To ten znajomy charakter pisma przyprawił panią Öbeck o zawroty głowy. W nocnej ciszy zdało jej się, że listy pisane są do niej. Do niej! Tej, która nigdy nie kochała! Tej, która pędziła posłuszne życie u boku męża, darzyła go szacunkiem, lecz nie miłością... Opadły z niej lata. Była młoda. Kochana. Miała wyjść za mąż, gdy tylko narzeczony dostanie stałą posadę w jakimś pięknym miasteczku. Czy komukolwiek udało się sięgnąć dna własnego serca?

Tej nocy pani Öbeck odkryła w piersi trzepoczący płomień. Zapomniała o szarych dniach, zapomniała o wiecznie powtarzających się, nieznośnych zajęciach. Gorący wiatr musnął jej policzek. Narodziło się w niej nowe życie. Taka jest siła miłości: odmienia, przekształca. Po raz pierwszy w życiu usłyszała, że ktoś ją woła, używając imienia miłości. Po raz pierwszy schwytała ją radosna tęsknota, by pomagać i wspierać. Teraz jej dni miały wypełnić się tysiącem zajęć, lecz jakże różnych od tych, których nie chciała pamiętać. Słońce, promienne i rozgrzewające, rozlewało blask całymi dniami. Powietrze było przyjemne, łatwo się oddychało. Ludzie — te olbrzymy — zmniejszyli się, stali się zwyczajni, ba, nawet ładni. Swoje dawne życie pamiętała jak odległy sen. Gardziła nim.

Z podbródkiem wspartym na dłoni i wzrokiem utkwionym w oddali — marzyła. Jej życzenia stawały się coraz śmielsze. Trzymała w dłoni maleńkie dziecko. Przyciskała je do serca. Chłodny policzek przytulił się do jej płonącego oblicza. Ciche gaworzenie dotarło do jej uszu.

Gorące łzy kapały jej z oczu, zamazując spojrzenie.

I znów była noc. Światło zgasło. Dotknęła kartek. Nagle się oddaliły, jak również rozżarzone słowa o miłości. Nie! Zmarznięta owinęła się szlafrokiem. Wstała i zaczęła cicho chodzić po pokoju. Opierała się o krzesła, ale nie czuła bólu. Potrząsnęła pięściami zaciśniętymi ze złości. Ale złość uderzała tylko w nią. Przez moment, niezwykle szczęśliwa, zobaczyła życie, którym mogła żyć. Jakże wolałaby znaleźć się na miejsku tej ubogiej dziewczyny, gdyby posiadała to, czym obdarowano tamtą! Jakże bardzo chciałaby być samotną, wysmiewaną, biedną, szukającą schronienia u starej wiedźmy, gdyby tylko posiadała tę miłość. Żyła, jakby wciąż spała. Jej oczy wypełniał kurz.

Lecz teraz się obudziła. Czy jest za późno? Mogła mieć wiele lat przed sobą? Wtem przystanąła. Zza tykania zegara usłyszała spokojny oddech młodej kobiety. Urodzi się życie. Znów poczuła dotyk dziecięcej rączki, policzek przy swym policzku. Dziecko! Zapłonęła w niej radość. Weźmie je do siebie. Będzie dorastało w pokojach, które były świadkami jej bezdusznego snu.

Pokocha je, będzie się cieszyć na jego myśli, na życie, na to, że stanie się prawdziwym człowiekiem. Opuścił ją cały ciężar. Maleńki ogień w jej sercu, który prawie już zgasł, zapłonął na nowo.

Nastąpił czas, w którym ogień płonął coraz jaśniej. Zniknęły cienie wokół oczy pani Öbeck. Spojrzenie promieniało. Natychmiast po tej nocy powiedziała młodej kobiecie, że chętnie weźmie dziecko do siebie. Pani Öbeck bała się, że tamta się nie zgodzi. Ale nie. Być może sama też o tym myślała. Była biedna, w domu miała wiele rodzeństwa, nie mogła zatrzymać dziecka.

Pewnego dnia na świat przyszło maleństwo, chłopczyk. Kobieta, która przyszła pomóc, przez przypadek miała krewną w mieście, skąd pochodziła młoda matka. Dlatego знаła całą historię. Opowiedziała ją znajomej z kamienicy pani Öbeck. Ludzie się zdziwili. Temat starczył im na wiele dni rozmów. Gdy pani Öbeck przyszła do sklepiku, kobiety

List

Miłość, Przemiana

Dziecko

gapily się na nią, jakby zobaczyły kogoś nowego. Niektóre ją podziwiała, że wzięła do siebie tę biedną dziewczynę. Inne surowo karcily. Co do jednego były zgodne: tajemnicza pani Öbeck, z której tajemniczości wszyscy się tak śmiali, faktycznie miała tajemnicę, którą musiała chronić. Nie wiadano, czego teraz można się po niej spodziewać.

Pewnego przedpołudnia po schodach zeszła dziwna procesja. Mijający ją ludzie przystawali zdumieni. Drzwi uchylały się, wyglądały ciekawskie twarze. Najpierw szła pani Öbeck. W ramionach trzymała zawiniątko z tiulu i różowych kokardek. Kurczowo przyciskała je do piersi, jakby się bała upuścić. Miała na sobie starą, czarną suknię, znaną w okolicy od wielu lat, ale na czubku głowy, na siwych włosach, tkwił nowy kapelusz. Z przodu miał kiść czerwonych wiśni, które dygały i drżały z każdym krokiem pani Öbeck. Napotkani ludzie zaczynali się uśmiechać — najpierw na widok kapelusza, a potem dlatego, że twarz pani Öbeck cała promieniała. Radośnie się uśmiechała i kłaniała. Wiśnie dygały. Za nią szła młoda kobieta, szybkim krokiem i z uniesioną głową. A z tyłu stara wiedźma, mieląca w ustach zaklęcia nad dzieckiem.

Towarzystwo wsiadło do taksówki i odjechało do kościoła, by ochrzcić dziecko.

— I pani Öbeck pojechała — mówili sąsiedzi, kiwając do siebie głowami. — A na kolanach trzyma swą wielką tajemnicę.

I w istocie tak było.

BAL U WOJEWODY

U wojewody odbywał się bal. I to w przeddzień święta Trzech Króli. Przyjęcie na początku roku zawsze świeciło niczym gwiazda dla części rodzin, zamieszkałych w tym niewielkim mieście. Z okazji Bożego Narodzenia dziewczęta życzyły sobie nowe suknie, by móc je włożyć na ów bal, zawsze tak samo wyteńskiony, a starsze panie zawczasu umawiały się z jedyną tutejszą fryzjerką, by na przyjęciu wystąpić ufryzowane i wyfiokowane, z rajarami² i pióropuszcami w wymyślnie ułożonych włosach.

Przyjęcie trwało już od paru godzin. Na niewielką grupkę ludzi stojących na zewnątrz padał blask świateł i odbijał się w ich zaciekawionych oczach, słycać ich było zza zamkniętych, podwójnych okien — gwar niczym w ulu. Od czasu do czasu rozbrzmiewały także dźwięki fortepianu. Wówczas młodzi w ogrodzie chwyтали się nawzajem wpół, skakali i kołysali głowami, jak upojeni tańcem. A wszystko, by naśladować to, co, jak sądzili, odbywa się na górze.

Mała dziewczynka stała bez ruchu i z iskrami w oczach spoglądała na rozświetlony dom. Wiedziała, że dziś wieczorem podadzą lody. Powiedziała jej o tym kucharka, która mieszkała za ścianą. Dziewczynka nigdy nie jadła lodów zimą, tylko latem, gdy w parku sprzedawano ciekącą maź. Za mała była, by myśleć o kawalerach i sukniach, jak starsze dziewczęta tuż obok. Ale myślała o lodach, aż w brzuchu poczuła lodową grudkę, a lzy utęsknienia napłynęły jej do oczu.

W tym momencie w salach na górze odświętnie ubrany służący roznosił lody. Podczas przerwy w tańcu przyjemnie było skosztować kilka łyżeczek pięknych, czerwonych i białych, lodów z pucharka.

W dużej sali starsze panie prowadziły spokojne rozmowy. W mieniących się jedwabiach przypominały stado gołębi. Wypinały miękki puch piersi. Kręciły głowami na prawo i lewo, od czasu do czasu wybuchając chichotem. Sama wojewodzina, w centrum tego kręgu, była wielką, szarą gołębicą w srebrnym brokacie i z wysoko upiętą fryzurą. Słyszała gwar dokoła i czuła zadowolenie. Przyjęcie wyglądało jak każdy bal z okazji święta Trzech Króli — bardzo udane.

Panowie rozsiedli się wokół stolików w gabinecie wojewody. Pykali grube cygara. Salwy śmiechu wybuchały w stronę sufitu. Rozgrzane palce chwytaly szklanki z ponczem. Pokój nie przypominał pola walki — twarze wylaniające się zza gęstego dymu były zbyt gorące i czerwone — lecz koszary podczas uroczystości, kiedy odpala się armaty ku czci bohaterskiego króla, a wielkie słowa na temat ojczyzny i ludu wciąż trzepoczą w powietrzu jak wirujące pióra. Działo się to za czasów dawnego króla³, jakiś rok po roz-

²rajser — pióro czapli, używane dawniej do ozdobienia kapelusza lub fryzury. [przypis edytorski]

³dawnego króla — chodzi o Oskara II (1829–1907), króla Szwecji (do 1907 r.) i Norwegii (do 1905 r.), ostatniego norweskiego władcy z dynastii Bernadotte. „Rozwód” Szwecji i Norwegii, czyli wypowiedzenie unii przez to drugie państwo, nastąpił w 1905 r. [przypis edytorski]

Dziecko, Radość

Święto, Zabawa

Dziecko, Bieda, Marzenie

Elita

wodzie z Norwegią, kiedy patriotyczne uczucia szlachetnych ludzi wciąż łatwo wybuchały. Wszyscy ci panowie mieli dobre posady, wysokie pensje, wytwornie udekorowane klapy fraków; to mężczyźni w służbie króla i ojczyzny, a każdy z każdym był „na ty” i bratem, pojednani we wspólnym celu i słodko pachnącym ponczu.

W sąsiednich pomieszczeniach i w sali dostrzec można było pary młodych mężczyzn i dam. Tam nie czuło się zapachu cygar ani mocnego ponczu, nie było także nieco dusznych perfum z ciężkich brokatowych sukien i ozdobionych falbaną halek. Unosił się tu zapach kwiatów, jak wtedy, gdy otwiera się okna na letnią łąkę w rozkwicie. Młode twarze! Młode głosy! Melodyjny śmiech! We wszystkich tych oczach, we wszystkich spojrzeniach, które się spotykały, umykały sobie i znów na siebie wpadały, tkwiło jedno figlarne pytanie: „Czy mnie kochasz?”

Przy oknie w jednym pokoju stała dama, a obok trzech zalotników. Nie była to młoda dziewczyna, tylko wdowa, lat trzydzieści i kilka. Stojąc w kręgu kawalerów, widziała swe odbicie w wielkim lustrze naprzeciwko, uśmiechała się lekko do trzech pochylonych pleców i karków, wyraźnie odznaczających się w zwierciadle. Miała drobną sylwetkę, szczupłe ramiona, a z twarzy jej biła osobliwa, przezroczysta błądliwość, przez co oczy wydawały się wyjątkowo czarne, duże i stęsknione. Nie była młoda, ale i nie na tyle stara, by siedzieć z paniami w salonie; w sali balowej miała nieraz większe powodzenie niż najmłodsze dziewczęta.

— Odsuń się trochę! — rzekła zirytowana do panów. — Przez was ledwo co widzę.

Gdy się rozstąpili, rozweseleni jej tonem, z zapalem rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby kogoś szukała. „To Jenny”, pomyślała, widząc młodą dziewczynę, która siedziała na kanapie z jakimś panem. Jeden z kawalerów, porucznik z pełnym nadziei spojrzeniem w okrągłych, niebieskich oczach, zareagował natychmiast:

— Za czym się rozglądasz, Mary?

Wówczas drobna wdowa lekko wzruszyła ramionami; nie odpowiedziała. Nie mogła wyjaśnić: „Patrzę na siebie”. A to właśnie robiła. To nie za odbiciem w lustrze wodziły jej oczy — znała je na pamięć — lecz za młodziutką Jenny.

Jenny była krewniaczką Mary, nie tak dawno rozpoczęła życie towarzyskie. Dziś wieczór Mary po raz pierwszy ujrzała ją na tak dużym przyjęciu. Wpierw zobaczyła ją w tańcu. W męskich ramionach spostrzegła bladą twarzyczkę, czarne oczy, łagodne, dziecinne usteczka. Na ten widok serce Mary zerwało się jak dzikie.

Zapomniała, że Jenny miała przyjść na bal. Ta młoda dziewczyna, która tak lekko ruszała się w tańcu, jej czarne, rozmarzone oczy i usta, co to tajemniczo uśmiechały się jakby do wielkiego szczęścia — to przecież ona, Mary, właśnie skończyła siedemnaście lat. Po kilku minutach zrozumiała, że to Jenny; zawsze uważała, że dziewczyna jest do niej podobna, lecz teraz podobieństwo ją uderzyło. Gdy tylko uniosła wzrok, widziała tę młodą twarz, usta czekające na swój pierwszy pocałunek, miękkie policzek, który nie potrzebował pudru, by być przezroczystym i gładkim. Widok ten zbił Mary z tropu, zapragnęła ściągnąć z siebie kolejne lata, jak uwalnia się z kłopotliwych, obcisłych ubrań, gdy idzie spać. A gdy już się pozbędzie niewygodnych sukni, lat, tych potwornych, stanie tam siedemnastoletnia, tajemnicza dla siebie i innych, oczy będą błyszczeć od zbliżającego się szczęścia jak od zbyt silnego słońca. Zupełnie jak Jenny w ten wieczór! Zupełnie jak ona! Wtedy Mary zachwiała się w tańcu i ścisnęła ramię kawalera.

Przyszła na przyjęcie z mocnym postanowieniem kokietowania pewnego pana, który teraz grał w karty z wojewodą. Był jeszcze młodym mężczyzną, ale nie lubił tańczyć. Miał wysoką posadę i mnóstwo pieniędzy. Mary wiedziała, że on chce ją za żonę. Nie kochała go, lecz kusilo ją spokojne, beztroskie życie u jego boku. Zostałaby jego żoną. To byłoby idealne! Dziś wieczorem na balu wojewody był jeszcze inny mężczyzna. On także ją kochał. Nie miał jednak żadnego z przywilejów tamtego. W przeciwnym razie — mogłaby go pokochać. Lecz należy się ustatkować.

W ten sposób biegly jej myśli, zanim dojrzała tamtą twarzyczkę. Teraz przestała myśleć klarownie. Stojąc przy oknie, nie słyszała rozmów towarzyszy. Patrzyła na Jenny. Siedział przy niej na kanapie młodzieniec, wręcz chłopiec, może student. Mary wiedziała, że jest on ideałem Jenny, że to przez niego tak błyszcza jej oczy.

W drzwiach widać było innego mężczyznę, który rozmawiał z matką Jenny, jedną z salonowych gołębic. Podobnie jak Mary, rzucali spojrzenia w kierunku Jenny. I oto

Wspomnienia

Kobieta, Mężczyzna,
Pozycja społeczna

rozegrała się scenka, przez którą Mary aż się wzdrygnęła. Poczula, że ma ochotę przetrzeć oczy, by być pewną, że nie śni, że to faktycznie nie ona siedzi tam ze studentem. Szara gołębicą, matka Jenny, nieustannie gruchając, lekkim krokiem przemierzyła dywan w stronę córki. Za nią szedł dżentelmen; z białą piersią i w czarnym fraku ze zwisającym ogonem też mógłby być ptakiem, sokołem o zakrzywionym dziobie i śmiałym spojrzeniu. Zasadzili się na młodą, niewinną, ach, jakże radosną parę na kanapie. Student wstał zmieszany, wił się przed rozgruchaną gołębicą; w końcu zniknął, rzuciwszy swej pięknej damie ostatnie tęskne spojrzenie. I teraz Jenny siedziała z nowym kawalerem, podczas gdy jej matka, zadowolona z dokonanego dzieła, posuwistym krokiem wróciła do salonu.

Mary przygryzała wargę, próbowała odpowiedzieć na uparte pytania swych panów, dlaczego jest taka rozkojarzona. „Dokładnie tak to się odbyło”, myślała zrozpaczona. W wieczór jak ten, na przyjęciu! Czy nie był to wręcz bal u wojewody? Ona i młody student, zawstyżeni, kochali się bez słów, szczęśliwi, że mogą być blisko... I natrętna matka, która złowiła bogatą partię i z upatrzonym zięciem przysiadła się do młodych.

Podczas gdy Mary uśmiechała się i rozmawiała z kawalerami, jej myśli nie przestawały krążyć. Siedemnaście lat — a ona dała mężczyźnie swe „tak”. A potem? Lata przemaszerowały obok, parodując odświętną procesję. Zdawało jej się, że widzi, jak suną po tej rozświetlonej sali, robiąc miny i przesadnie uprzejmie się kłaniając, jak klauni.

— Musisz się nami zadowolić! — chichotały lata. — Musisz się zadowolić!

Dreszcz przeszedł jej po nagich ramionach. Cudną, kwietną łakę życia zdeptały koślawe stopy minionych lat. Pryśły jej nadzieje i marzenia. A najstraszniejsze było, że nigdy do końca nie pojęła, co straciła — aż do tego wieczora, gdy spotkała siebie twarzą w twarz. Taka kiedyś była! Młoda, piękna i niewinna! Odwróciła wzrok. Spojrzała po kawalerach. W ich oczach dostrzegła tę, którą jest teraz: wyrachowaną kokietkę, bez uczuć, dowcipną damę, z której żartów i psot wszyscy się śmiali. Nic innego! Pokłońcie się, lata! Dokonałyście swego. Róbcie te swoje udawane miny, rońcie krokodyle łzy! Doskonale! Bawiłyście się roztrzęsionym ze szczęścia siedemnastoletnim sercem, aż przestało cokolwiek czuć.

Fortepian i skrzypce w salonie rozbrzmiały bostonem⁴. Para za parą opuszczały pokój. Sokół zaferował Jenny swe ramię, a ona wraz z nim odplynęła. Także Mary chwyciła czyjeś ramię i zniknęła w salonie.

W drzwiach stało kilku wolnych panów, patrzyli na taniec. Był wśród nich mężczyzna bez przywilejów, które posiadał bogaty zalotnik Mary. Widać było po nim, że sam rozumie, iż nie ma tu pierwszeństwa. Był niewysoki, a oczy miał rozmarzone, nieco krótkowzroczne. Zmrużył je i podązał za tańcem Mary. Suknia trzepotała wokół niej, kibić obwiązana zielonym jedwabiem, białe ramiona unosiły się nad obłokiem tiulu, a dumną główkę przechyliła w bok. Zachwycająca kobieta! Lecz arogancka i nieobliczalna! Ileż to razy zraniła go i odepchnęła. A jednak! Kochał ją. Inaczej nie potrafił.

Jakaś młoda panienka tańczyła obok niego. Zobaczył bladą twarz, czarne, błyszczące oczy. Wzdrygnął się. Kto to taki? Czy nie Mary? Kiedy teraz wodził za nią wzrokiem, dostrzegł podobieństwo do ukochanej, lecz widział też, że nie, to nie może być ona. Tej niewinnej radości brakowało w twarzy wdowy, tych nietkniętych ust i spojrzenia, które czeka na szczęście. Nie, to nie była Mary. Lecz, ach, gdyby to była ona! Wówczas ośmieliliby się wypowiedzieć to, co parzyło go w środku. Uniósłby dłonie, otulił nimi jej kark.

Ktoś wyszedł z pokoju panów i stanął w drzwiach z cygarem w ustach. Był to ów człowiek o wielu wspaniałych przywilejach. Nie zauważył odbicia wdowy w tej młodej dziewczynie. Widział tylko Mary, dumną Mary, która z pewnością mu ulegnie. Rozkoszował się swym cygarem, po czym wrócił do karcianego stolika. Był pewien co do Mary. Dzisiejszego wieczora, pod kolacji, da mu swoje „tak”.

W pomieszczeniu było coraz goręcej. Ozdoby i pióropusze starych dam kołysały się w rytm muzyki. W męskim pokoju karty rzucano na stół. Wojewoda, sprężystym krokiem i z wysoko uniesioną piękną głową, wyszedł do pań. Rozmowy się ożywiły. Rozbrzmiewał śmiech. Wojewoda był rozrywkowym dżentelmenem. I on poszedł popatrzeć na taniec. Widać było, że cieszą go muzyka i piękne damy. Przytupywał stopą w rytm. Radośnie uszczypnął młodziutką dziewczynę w czerwony policzek. Przechadzał się po sa-

Taniec

⁴boston — rodzaj tańca pochodzenia amerykańskiego, także muzyka do niego. [przypis edytorski]

lach. W niewielkim przedsiönku, gdzie krążyli niedawno młodzi, siedział student z głową opartą na dłoniach, na kanapie, na której wcześniej siedział wraz z Jenny. Wojewoda poklepał go po ramieniu.

— Głowa do góry! — powiedział.

Młodzieniec spłonął rumieńcem. Wojewoda krążył wśród gości, podsycając pogodną, ożywioną atmosferę. Król w swym małym królestwie! Uznał, że wszystko jest, jak należy. Odswieżnie i jasno! Piękne twarze, eleganckie stroje, kwiaty we włosach i u ramion! Prawdziwe przyjęcie!

Zza drzwi do salonu stara służąca zerknęła niespokojnie. Zaraz nakryją do kolacji. Oby tylko młodzi zechcieli przestać tańczyć!

Ponownie zebrano się w różnych pomieszczeniach, w oczekiwaniu na posiłek. Mary rozglądała się dokoła. Tam jest Jenny, niedaleko, a przy Jenny sokół o śmiałym, ostrym spojrzeniu.

„Uważaj, kochanie!” chciała wykrzyknąć Mary. „Lada moment wbije w ciebie szpony, a wtedy twoje krzyki nic nie pomogą. Jesteś uwięziona. I pamiętaj, piękne suknie i kosztowne podarunki cię nie pocieszą. Sama dobrze to wiem”.

Mary wzdrygnęła się. Czy wiedziała? Czyż sama tego wieczoru nie podążyła za pięknymi sukniami i kosztownymi podarunkami? Czyż po raz kolejny nie uwiodło jej bogactwo? Czyżby zapomniała o dawnych doświadczeniach? Zakłopotana przetarła czoło. Już widziała się schwytaną, jak pędzi prosto w sidła. Czy nie może się powstrzymać? Nikt jej nie pomoże?

Przysunęła się do Jenny. Gdyby tylko mogła uratować tę młodziutką dziewczynę od zagrażającego jej losu, który jej przypadł w udziale, uznałaby, że to nieistotne, jak ona sobie poradzi. Była już stara. Nie potrafiła wyjść z formy, jaką życie i zwyczaje dla niej odlały. Z otwartymi oczami szła ku własnej zgubie. Ale Jenny, ta młodziutka, musi być szczęśliwa. Mary szturmem ruszyła do walki jakby o siebie: o własną cnotę, o swoje szczęście, na razie ledwie wyczuwalne, o różowe obłoczki rozrzucone po jej niebie. Chwyciła rękę Jenny.

— Spójrz — powiedziała piskliwie, siląc się na uśmiech. — Stoi tam pewien młodzieniec i tęskni za tobą.

Jenny podniosła wzrok, zdumiona głosem sąsiadki, po czym popatrzyła przed siebie. Tak, stał tam student, wpatrzony w nią płonącymi oczami. Przez moment nie mogła się zdecydować. Lecz nagle zaczęła powoli, jakby powstrzymywana przez obcą siłę, iść przez parkiet w kierunku studenta po drugiej stronie. Zaledwie po kilku krokach jej chód stał się pewniejszy, a sylwetka wyprostowana. Odrzuciła w tył ciemne włosy. Oczy jej rozbłysły. Na blade policzki wystąpił łagodny rumieniec; usta rozchyłone w tajemniczym uśmiechu. Tylko sokół, Mary i stęskniony student na nią patrzyli. Teraz była bezpieczna, po drugiej stronie.

Mary rzuciła sokołowi spojrzenie i uśmiech. Skinął z ironią. Ale wyglądał też na rozżłoszczonego, dlatego odszedł.

Otwarto drzwi do jadalni. W środku stał stół nakryty do kolacji. Panie dygnęły, panowie się sklonili. Weszli dostojn timer, trzymając się pod ramię. Na końcu młodzi — ożywionym krokiem.

Na stole potraw bez liku. Każda pani mogłaby, choćby z zamkniętymi oczami, wyliczyć, co tam się znajdowało. Miejska kucharka trzymała się ściśle określonego rytuału. Ach, niczego nie brakowało. Było tam wszystko, co zwykło się podawać u każdej rodziny z socjety w tym małym miasteczku.

Najpierw przystawki ustawione na początku stołu. Niezliczone talerzyki wędlin, solidne klopsiki na srebrnej tacy, szparagowe omlety, sardynki, śledziowa zapiekanka, wędzone mięso renifera, szynka. Tuż obok okrągłe, srebrne naczynie z szeregiem *vol-au-vent* pachnących grzybową potrawką, a po drugiej stronie olbrzymi farsz rybny polany sosem z homara. Po długości stołu wytworny łosoś w majonezie, przybrany w przepiękny sposób za pomocą zielonej, czerwonej i żółtej galaretki. A naprzeciw tej cudownej ryby kuściły pysznie przypieczone na złoto pardwy, otoczone wielkimi parującymi sosjerkami oraz półmiskami maleńkich krągłych ziemniaków, groszku i powidel.

Panie pochyliły się nad bufetem i nakładały smakołyki na talerze, podczas gdy panowie wznosili toast kieliszkami z wódką. Młodzi podjadali coś tu i tam, śmiejąc się i rozmawiając. Dla nich jedzenie nie stanowiło kulminacji przyjęcia. Siadano wokół mniejszych

Uczta, Jedzenie

stolików, ale i dreptano w tę i z powrotem do uginającego się bufetu. Policzki płonęły od ciepła, jedzenia i wina. Dźwięczało od śmiechu. Rozmowy i żarty fruwały między stołami.

Mary uśmiechała się pod nosem, od niechcienia srebrnym widelcem dziobała w jedzeniu. Na końcu stołu widziała, jak głowy Jenny i studenta przybliżają się jedna do drugiej. Uważała, że dokonała czegoś wielkiego; zdjęto z niej ciężar, więc odwróciła się do sąsiada, żeby porozmawiać. Okazał się nim mężczyzna bez większych przywilejów.

— Ach, to ty, Henriku? — powiedziała radośnie.

Przyglądał jej się uważnie swoim słabym wzrokiem. „Coś jej się przytrafiło”, pomyślał; i zaraz potem: „Może się zaręczyła z tym bogaczem”.

Lecz jej drugi wielbiciel siedział przy innym stole. Widział jedynie kark Mary, a w jego oczach rosła frustracja. „Co też się stało z Mary?”, zastanawiał się. Po raz pierwszy tego wieczora ignorowała go. To nie był dobry znak.

Tak, Mary zupełnie go lekceważyła. Czy robiła to z rozmysłem? Ona, ostrożna, planująca, ta, co zawsze myśli o korzyściach dla siebie? Być może chciała odroczyć moment decyzji. Być może nie chciała jeszcze się oddać, tylko cieszyć szczęściem, jakie sprawiła Jenny i jej młodemu studentowi. A psikus, jaki splotała sokołowi o śmiałych oczach, bardzo ją cieszył, bardzo. Miała wrażenie, że i sobie coś ułatwiła. Co to takiego?

Zacząła żartować i rozmawiać z Henrikiem. On patrzył na nią podejrzliwie. Co się stało z tą dumną Mary? Czyżby to nowy kaprys? Pragnienie, by dać mu nadzieję, jak najdłużej go dręczyć? Lecz dał się wciągnąć. Była tak ujmująca. Lekki tiul na jej ramieniu musnął go, gdy się schyliła. Kwiatek z ozdoby w jej włosach upadł na jego serwetkę. Pospiesznie włożył go do kieszeni. Chciał mieć wspomnienie z tego balu, gdy dane mu było siedzieć obok niej podczas kolacji. Być może to ich ostatni wspólny wieczór.

Podczas deseru wygłoszono mowę na cześć gospodarza. Wszyscy stali z kieliszkami wina w dłoniach. Henrik patrzył na Mary, ale jej spojrzenie błędziło po drugiej stronie stołu; on znów zauważył to jej odbicie, tę młodą dziewczynę o szczęśliwej twarzy.

— Spójrz tam! To przecież ty — szepnął nagle.

Lecz wtedy Mary wzdrygnęła się, a jej uśmiech zniknął.

Po kolacji miał ją tylko dla siebie, usiedli na kanapie. Podając jej kawę, wylał kroplę na jej biały strój.

— Nic nie szkodzi — odezwała się smutno.

Coś w jej głosie wzruszyło go, bardziej niż wszystko inne. Pochylił się, zasłaniając ją przed innymi, i spojrzał jej prosto w oczy.

— Co jest nie tak, Mary? — spytał.

— Ta młoda dziewczyna, którą widziałeś — zaczęła powoli, jakby mówiła tylko do siebie. — To jestem ja. Och, to nikt inny jak tylko ja. Jestem młoda. Mam siedemnaście lat i całe życie przed sobą. Pomyśl, wszystko, co wspaniałe, kuszące i takie odległe, jeszcze trzepocze przede mną niczym motyl! Jeszcze nie opadło na ziemię, nie okazało się nietoperzem o rozczapierzonych szponach, szarych skrzydłach i ze śmiertelnym lękiem w oczach. Świeci słońce, a motyl szczęścia rozpostarł skrzydła w jego promieniach.

W jej głosie nie było ironii. Tylko smutek, nieskończony smutek. Jego słabe oczy wypełniły się łzami.

— Tylko raz jest się szczęśliwym — powiedziała — wtedy, gdy wszystko leży przed tobą, otulone słońcem i błękitnymi cieniami. A potem, uch! Dziś wieczór ujrzałam własną młodość. Dziś jestem starą, zmęczoną kobietą.

W tej chwili zrzuciła z siebie manierę kokietki i drwiący, dowcipkujący ton, który tak często zachwycał mężczyzn. Wyglądała na zmęczoną. Lecz ten obok niej, który ją kochał, poczuł, że jest mu bliższa niż kiedykolwiek. W dziwny sposób przypominała tę młodą dziewczynę, lecz była piękniejsza — jak kruchy, zużyty kielich piękniejszy jest niż nowo malowany wazon. Siedziała z nieco rozżaloną miną, ręce złożyła na piersiach; nie wyglądała na młodą, jak przed chwilą, gdy w tańcu dumnie unosiła głowę. Lecz teraz była bardziej jego niż wtedy. Tej drugiej kobiecie nie śmiałyby wyznać miłości, a jej — owszem. Gdy wyszeptał swoje wyznanie, milczała, nie opuszczając z piersi rąk.

„Wyrwałam Jenny ze szponów sokoła”, pomyślała. „A teraz pora na mnie”. Z uśmiechem, który znów ją odmłodził, odwróciła się do mężczyzny, którego potajemnie kocha-

Wspomnienia, Marzenie

Miłość spełniona

ła; podała mu rękę, zapomniawszy o interesownych planach. Muzyka w salonie zagrała, pary ponownie ruszyły w tę stronę, a Henrik i Mary poszli za resztą.

No proszę, zagrano starego walca. Melodia tęskna i pełna życia zarazem. Gdy tylko wybrzmiały pierwsze, zachęcające takty, wszystkie stare damy i panowie sunęli ku sali, niespokojni i wyczekujący. Nikt nie tańczył. Gładki, błyszczący parkiet odbijał wielki kryształowy żyrandol.

Wtem wojewoda uklonił się damie w mieniającej się sukni z jedwabiu, z wysoko upiętymi włosami, z których powiewał pióropusz, i w piruecie wyprowadził ją na środek sali. Dłoń sztywno położył na boku! Dumna postawa! Świetna prędkość! Tak należy tańczyć! Tren starszej damy wirował w wielkim wachlarzu, policzki jej purpurowiały, pióropusz kiwał się dumnie. Któż by się oparł? Nikt ze starszego towarzystwie oprzeć się nie potrafił. Był to ich ukochany taniec. Ten, który budzi wspomnienia z minionych bali, z czasów, które zdawały im się bardziej szlachetne i eleganckie niż te, w których dzisiaj żyli. Od kroków tancerzy podłoga się ugiwała. Młodzi ścisnęli się przy ścianach, radośni na widok wiru, jaki dopadł ich ojców i matki.

Nagle Mary chwyciła Henrika za rękę. W tłum tańczących wsunęła się jedna młoda para. Poruszali się pewnie w przyjemnym walcu przypominającym bostona, niespiesznie, wśród wirujących par. Była to Jenny ze swoim studentem, którzy z radości nie potrafili wręcz ustać w miejscu. Wyglądali zabawnie, tak młodzi pomiędzy białymi głowami i korpulentnymi taliami z jedwabiu i brokatu. Ona lekko przytuliła się do niego. On opiekuńczo pochylił się nad nią.

Tym razem Mary widziała przed sobą swą młodość bez silnych uczuć goryczy i upokorzenia, jakich doświadczyła wcześniej tego wieczoru. Ta młoda dziewczyna, nic o tym nie wiedząc, podarowała jej małą część szczęścia, które kiedyś Mary posiadała. Może tym razem będzie je mogła zachować? Bezwiednie uniosła rękę, jak gdyby w powietrzu, ukołysanym muzyką i tańcem, chciała uchwycić roztrzepotanego, migoczącego motyla.

Przyjęcie u wojewody dobiegło końca. Okno za oknem gasło. I teraz księżyc wpadał przez szyby z cichego, gwieździstego nieba. W pokoiku na jednej z uliczek, w łóżku siedziała przebudzona dziewczynka. Miała czerwone policzki i błyszczące oczy. Jadła lody. To przemiła kucharka przyniosła jej porcję w blaszanym pudełku. Mała obudziła się, gdy mama rozmawiała w przedsionku, i tak dostała lody prosto do łóżka. Co za święto dla dziecka!

WOKÓŁ KRAT

I

Panna Signe Holm szła powoli w stronę wielkiej szpitalnej bramy. Powietrze było dziś osobliwe. Wiele razy wychodziła na dwór w towarzystwie innych pacjentów, ale wówczas jakby nie mogła porządnie oddychać. Teraz wzięła głęboki oddech, odwróciła się i spojrzała na szpitalny kompleks. W jesiennej szarości budynek zdawał się ciężki, olbrzymi. Długo mu się przyglądała, zamyślona. Znała życie, jakie toczyło się za tymi okienkami, za tymi zamkniętymi drzwiami. Tego dnia została wypisana, uznana za zdrową, ale lekarz o dobrych, życzliwych oczach nie mógł pospiesznie skrobiącym piórem wykreślić jej wspomnień.

Były tam jednak także zdarzenia, które chciała zachować w pamięci — nie wszystkie wypełniał strach. W chwili najgłębszej rozpaczki ktoś pogłaskał ją po włosach, stwardniała od szmat i szorstkich szcnot dłoń pogładziła ją po policzku. Podczas niekończącej się nocy ktoś od czas do czasu nachylał się nad nią, zapamiętała twarz w blasku lampki. Przez te miesiące ukochała ten błękitny strój pod białym fartuchem i kiedy migał w głębi korytarza, głos, ten radosny, pogodny głos nigdy nie był zbyt daleko. Ale pamiętała też inne rzeczy. Wzdrygnęła się, po czym ruszyła przed siebie.

Przy bramie czekała na nią jedna z pacjentek. Była to stara kobieta o smutnym, jakby nieobecny spojrzeniu w bladych oczach. Krążyła po parku, próbując zebrać bukiet z jesiennych kwiatów. Teraz go jej podała — zmarznięty, czerwony pąk róży i kilka astrów z płatkami pomarszczonymi jak bibuła.

Taniec, Wspomnienia,
Młodość

Szczęście

Choroba, Szaleństwo,
Lekarz

Wspomnienia

— Do widzenia, panienko — rzekła. — Dziękuję za pani uprzejmość. Ale — szybko zbliżyła usta do ucha tamtej — proszę tam uważać! Ludzie są okrutni... Okrutni! Dziwoy i szpony!

Staruszka zrobiła grymas wyrażający nienawiść i strach.

Panna Holm spojrzała na walizkę obciążającą jej ramię, a potem przed siebie — za bramę ogrodzenia, w kierunku miasta, które w oddali odznaczało się ostrymi wieżami i szczytami domów. Miała wrażenie, jakby wyruszała w podróż. Zatrzymała tam swój pokoik. Teraz, po tych miesiącach, mogła znów mieć go na własność, a potem znajdzie jakąś pracę. Poczula gwałtowną tęsknotę za tym pokoikiem. Przecież do niej należał. Zapłaciła, by móc go zatrzymać, ponieważ nie miała dokąd przenieść mebli; była samotna.

— Do widzenia — pożegnała się pospiesznie i przesadnie dziarskim gestem chwyciła walizeczkę.

Stary stróż skinął życzliwie i na pożegnanie zdjął czapkę. Tyłu już widział, jak wychodzą przez to ogrodzenie, tyłu, jak wchodzi — jedni rozkrzyczani, wymachujący rękami, inni zapadnięci w sobie, z twarzami duchów. Miał jedno zadanie: otworzyć i zamknąć, otworzyć i ponownie zamknąć, przypilnować, by nikt nieupoważniony nie wszedł do środka i nikt z tutejszych bez pozwolenia się nie wydostał. Muszą przechodzić obok niego, zarówno ci mądrzy, jak i ci drudzy. Zadanie przyniosło stróżowi medal za wierną służbę.

Gdy panna Holm uszła już kawałek, odwróciła się. Stróż wciąż stał w miejscu, a za nim siwa staruszka. Dla tej pacjentki stróż nie reprezentował zamknięcia przed wolnością, tylko władzę, która chroni ją przed złym światem na zewnątrz. Lecz panna Holm zobaczyła pierwsze miejskie latanie i przyspieszyła kroku.

Siedziała teraz w tramwaju. Ten brzęczał, dzwonił i trząsł, ale jechał powoli, bardzo powoli. Rzędy szarych kamienic wyglądały, jakby i one trzęsły się i drżały niczym bajkowy taniec kalekich, a wielkie witryny sklepików prezentowały wystawione towary — wszystko urocze, kuszące dla nieprzywykłych oczu: od kwiecistych jedwabów po czerwone jabłka i połyskujące kiście granatowych winogron. Ze strachem panna Holm poczuła w tramwaju napierające na nią ciepło, jakieś kolano przyciśnięte do jej własnego, ramię do jej ramienia. Niezgrabnymi palcami wyciągnęła z portmonetki monetę i zapłaciła za bilet.

A więc teraz była w świecie! Ludzie dokoła nie wiedzieli, skąd przybywa, nigdy nie słyszeli odgłosu klucza przekręcanego w drzwiach, których nie da się potem otworzyć. To wolne stworzenia, chodzą, jak i gdzie chcą. Ludzie godni pozazdroszczenia; nawet nie wiedzieli, że można im zazdrościć, nie czuli wdzięczności za to, że sami mogą otwierać i zamykać za sobą drzwi.

„Będę miała własny klucz!”, pomyślała panna Holm i zdusiła w sobie śmiech, który nagle zabulgotał w gardle. Z uczuciem przypominającym niemal rozkosz wyobraziła sobie, jak wkłada klucz do zamka.

Nasłuchiwała głosu konduktora wywołującego kolejne przystanki:

— Tegelbacken⁵! Drottningatan⁶! Plac Gustawa Adolfa⁷!

Znajome nazwy obudziły wspomnienia. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie dawniej tędy biegnącą. Zawsze jej się spieszyło. Do biura i z biura. Tę pracę oczywiście straciła. Pamiętała też tych kilka razy, kiedy dawała sobie czas: wiosenne dni, gdy niebo otwarło jasnoblękitny kielich nad jej głową, a powietrze oddychało kruchym tonem jak wtedy, gdy szumią przewody telefoniczne albo woda ociera się o wypolerowane kamienie kei.

Z pamięci wyłoniła się twarz (wiele twarzy się tam cisnęło), ale nie chciała jej oglądać. Myśli wykonały skok, nagle znalazła się sama na jakimś nierzeczywistym placu. Panował tu chaos. Płytki chodnikowe uniosły się, jakby były z żelaza i przejechał po nich wielki magnes, domy wyginały się w luki, aż kominy pękały i okraciem przeskakiwały przez dachy. Pośród tego wszystkiego usłyszała donośny sygnał gwizdka, z ciemności wyłoni-

Wolność

Wspomnienia

⁵Tegelbacken — ważne komunikacyjnie skrzyżowanie, a także nazwa pobliskiej ulicy w Sztokholmie. [przypis edytorski]

⁶Drottningatan — główna ulica handlowa w Sztokholmie, odwiedzana przez licznych turystów. [przypis edytorski]

⁷plac Gustawa Adolfa — historyczny plac w Sztokholmie. [przypis edytorski]

ło się coś przeolbrzymiego i dyszącego, paszcza ją pochłonęła. Doszła do siebie dopiero w zakładzie, gdy wkłuto jej strzykawkę z morfiną. Czy nie tak to było?

Panna Holm szybko się rozejrzała. Mimo ciepła marzła, wciśnięta między ludzi. Przygnębiona pomyślała o minie, jaka kiedyś w zakładzie pojawiała się na twarzy pewnej odwiedzającej, gdy podczas rozmowy ze swym bliskim doświadczyła nagłego wybuchu wściekłości innego pacjenta. Konwencjonalna groza i niechęć całego świata zewnętrznego natychmiast zastąpiła maskę wyrozumiałości, odrobiny drażniącej uprzejmości, które przed chwilą dało się wyczytać z rysów eleganckiej, obcej mieszcanki.

Czy ci porządni ludzi po obu jej stronach, wyglądający na takich, którzy przez całe życie jedzą kolację o określonej porze i zrobią to także dzisiaj, przeszliby identyczną przemianę, gdyby wiedzieli, że dopiero co wypisana z zakładu pacjentka podróżuje tym samym wagonem?

Panna Holm nie śmiała odpowiedzieć na swe ciche pytanie. A gdy wysiadła z tramwaju, weszła do przedsiönka kamienicy, w której mieszkała, i na moment z walizką w dłoni oparła się o ścianę, usłyszała, jak złowieszcza odpowiedź uderza zranionym skrzydłem o jej serce.

Otworzyła jej gospodyni. Panna Holm uznała, że wygląda na grubszą niż wcześniej. Zza ciężkich powiek nie widać było całych oczu, a gdy się uśmiechała, jak teraz, fałdy podbródka łagodnie kładły się aż po gardło.

— Witamy — powiedziała. — Słyszałam od doktora, że panienka lada dzień wróci do domu. — Szła przez korytarz rozkołysanym krokiem, po czym otworzyła drzwi do pokoju, za którego spokojem panna Holm tak często tęskniła.

— Doktor zarzekał się, że panienka jest już w pełni zdrowa — ciągnęła gospodyni, wścibsko krzątając się po pokoju; w końcu należał do niej, lokatorka jedynie z niego korzystała.

Panna Holm prawie jej nie słuchała. Spojrzeniem pochłaniała swoje stare, ukochane meble i obrazy. Sprawiały wrażenie ludzkich, były bardziej ludzkie niż ta gruba baba, jakby wypukłe powierzchnie uśmiechały się, a szeroka kanapa otworzyła matczyne ramiona. Lecz gospodyni niezmordowanie mówiła dalej.

— Ależ panienko, jak panienka wygląda, taka chuda i zmarniała. Widać, oj widać, że panienka była chora. Ale doktor zaprzysiągł, że panienka jest już całkiem zdrowa.

Panna Holm niechętnie przeniosła wzrok z mebli na ciekawskie, natrętne, lecz życiowe oczy. Tamta wciąż wracała do tego, że „doktor zaprzysiągł”. Czyżby aż tak bardzo nie chciała przyjąć z powrotem dawnej lokatorki?

— Na pewno było tam strasznie? — odezwała się, a jej spojrzenie dalej badało i lustrowało. — Chciałam pojechać odwiedzić panienkę, ale znajomi mi powiedzieli, że moje nerwy tego nie zniosą. Ha! Ha! Że też nerwy mogłyby nie znieść szpitala dla nerwowo chorych.

Mówi „szpital dla nerwowo chorych”, choć ma na myśli „dom wariatów”, zanotowała w duszy panna Holm, a złowieszcze uderzenia skrzydeł, jakie poczuła w przedsiönku, zmieniły się wtem w bicie jej niespokojnego, furkoczącego serca.

— Chyba odpocznę trochę przed obiadem — powiedziała wycieńczona.

— Ależ oczywiście, nie ma sprawy! Obiad jemy o tej samej porze. Miło będzie znów zobaczyć panienkę przy stole. Tam chyba nie karmili za dobrze?

Gdy wychodziła, drzwi jakby rozszerzyły się ze względu na jej spuchnięte cielsko, a potem zatrzasnęły, kiedy zniknęła.

Panna Holm zastanawiała się, jakie wymiary przyjmuje „tam” w wyobraźni jej gospodyni. Zwykle, fałszywe albo przesadzone historie o zamknięciach, kolumny w gazetach o awanturach i pogrubione tytuły, świadectwa mętnych albo zbyt zgorzkniałych pacjentów, potajemne, wystraszone szeptki odwiedzających na temat tego, co dzieje się w wielkim domu za kratami — zduszone krzyki, dochodzące aż za mury, przybierały na sile, przyprowadzając porządnym obywateli o dreszcze... Wszystko skupiało się na tym, by stworzyć straszne wyobrażenia i karykatury.

A ona, która stamtąd przybyła, musi tkwić w tej fatalnej atmosferze szaleństwa, śmieszności i strachu.

Szaleństwo, Strach

II

Siedząc chwilę później przy stole, panna Holm żałowała, że nie położyła się spać wcześniej. W zakładzie o tej porze jedzono już kolację. Roznoszono właśnie duże, okrągłe tace z blaszanymi talerzami i kubkami, które na niespokojnym oddziale zastępowały porcelanę. Kobięcie wydało się, że czuje na wargach półsłodki smak blachy, że widzi kubek naznaczony zębami innego pacjenta.

Przy stole siedziało wielu gości, ponieważ gospodyni przyjmowała sporo osób, które przychodziły tylko na posiłki. Panna Holm niektórych rozpoznała i skinęła im na przywitanie, inni byli dla niej nowi. W milczeniu przysłuchiwała się, jak rozmawiają o teatrze, kinie i książniczce, w barwnej mieszaninie tematów, a ona nieśmiało dojrzała nowy fason sukienek, wyłapała tytuły kilku powieści, które widocznie należało przeczytać i mieć o nich jakieś zdanie. Panna Holm tak długo żyła w innym świecie, gdzie na podobne sprawy patrzono z innej perspektywy albo zupełnie je pomijano, gdzie urojenia, które darowały chłód i ciepło, stanowiły powietrze prawdziwego życia i gdzie mędrkami były lalki wygadujące głupoty — wystarczyło je dotknąć, by się rozpadły. Oczywiście wiedziała, że jej świat był szalonym światem o błędnie rozrysowanym proporcjach, nie mogła jednak oprzeć się myśli, że ludzie siedzący teraz wokół niej ściągnęli zasłony z tajemniczego warsztatu życia — że krążą po peryferiach, gdzie nie dociera szum ani blask ogniska w środku kręgu.

Poza tym tak długo jadła w samotności, że teraz przy stole czuła się niezręcznie; prawie zapomniała, jak używa się noża, noże były bowiem niebezpieczną bronią w rękach szpitalnych pacjentów. Ukradkiem zerknęła na błyszczące, metalowe ostrze, przejechała po nim palcem, lecz zaraz rozejrzała się dokoła, wystraszona, że ktoś ją nakryje.

Nie, nie wiedziała, co odpowiedzieć młodemu mężczyźnie, który spytał, czy woli rosyjskich aktorów od szwedzkich. Nic „nie wolała”. Lekko drżącym głosem odparła, że długo przebywała poza Sztokholmem. On nie był w stanie wywnioskować, że była w zakładzie, ale zdawało jej się, że skrywa uśmiech za serwetką.

I wreszcie po zakończeniu obiadu mogła wymknąć się do swego pokoju, gdzie długo stała w oknie i wyglądała na niekończącą się ulicę, z latarniami po obu stronach. Obserwowała kamienice, gdzie mieszkania ustawiono na mieszkaniach. W niektórych oknach świeciło się, inne były czarne, jakby coś chciały ukryć. Ale ze wszystkich biło chłodem, szyby stanowiły jedynie wklejone kawałki kry, a mieszkańcy oddychali lodem. Przez głowę panny Holm przemknęło, że teraz będzie korzystać ze swojej wolności. Klucz leżał na biurku. Ale nie śmiała; z westchnieniem musiała przyznać sama przed sobą, że nie miała odwagi. Miałaby wyjść, żeby znów spotkać ludzi, być popychaną w tramwajach, może siedzieć w teatrze, podczas gdy spektakl umyka coraz dalej jej uwadze — z lęku, że ona nie potrafi się właściwie zachować?

Ale nawet tu, w pokoiku, martwiło ją tysiąc drobiazgów. Łóżko powinno stać w szczególny sposób, musi je odsunąć od ściany. Lusterko odbijało światło lampy, odwróciła je. Obraz nad szafką wisiał krzywo; lekko popchnęła ramę, ale zaraz wystraszyła się, że obraz spadnie, więc zdjęła go i postawiła na podłodze.

Tak bardzo przywykła do tego, że wciąż ma na sobie pilnujące oczy, że teraz z obawą odczuwała samotność. Gdy się już położyła, zobaczyła, jak coś migocze w strumieniu światła z latarni za oknem. To klucz. Klucz do wolności, teraz należał do niej. Z cichutkim szlochaniem odwróciła się do ściany, by go nie widzieć. Nie tylko za drzwiami można zatrzaskać wolność. Są ludzie, którzy mimo, że ich dróg nie zastawiają żadne wrota, czują się jak jeńcy, uwięzieni w swoich obsesjach, we własnej obawie, w strachu przed martwymi przedmiotami, które okręcają łańcuchy wokół ich stóp, i przed żywymi, które ich zniszczą. Panna Holm wiedziała, że jest jedną z nich, a połyskujący klucz tylko jej o tym przypominał.

W środku nocy obudziła się, bo ktoś zapalił światło. Szybko podniosła się na łokciach. Stała przed nią gruba kobieta. Szerokie stopy wsunęła w papucie, a nad falującą koszulą nocną zwisały różowe fałdy peniuaru⁸. Wyglądała jak olbrzymia porcja ulubionego deseru dzieci — waty cukrowej. Panna Holm rzuciła jej wystraszone spojrzenie.

⁸peniuar — poranny kobiecy strój domowy. [przypis edytorski]

— Och — odezwała się gospodyni i położyła dłoń na roztrzęsionej wacie — panienka krzyknęła... Wystraszyłam się, tak w pierwszą noc!

Panna Holm zapewniła, że musiała krzyczeć przez sen. Ponownie zgasło światło, a różowa zjawa zniknęła. Młoda kobieta długo nie mogła zasnąć, z odrobiną nostalgii mimowolnie nasłuchiwała kroków szpitalnego stróża. Ale słyszała tylko przejeżdżające obok auta, a raz donośne głosy kilku nocnych spacerowiczów.

III

Panna Holm stała w korytarzu u bogatej wdowy i czekała, aż służąca ją zaanonsuje. Ciepło kominka delikatnie muskało jej ubranie, pachniało kawą. Nie była to brutalna kawowa woń, jaka potrafi uderzyć, gdy wchodzi się do mieszkania biedoty, lecz leciutka, pachnąca para, która bezprawnie przemknęła przez zasłonięte kotarą drzwi.

Panna Holm sądziła, że to kres męczących poszukiwań posady. W ciągu tych kilku dni, jakie minęły od jej powrotu, myśli wypełniała potrzeba porządnej pracy, a co za nią idzie, poczucia finansowego bezpieczeństwa. Najpierw sprawdziła w swoich dawnym biurze. Lecz tam szef tylko pokręcił głową, sugerując, że praca biurowa jest nie na jej nerwy. A ona nie nalegała. W takiej sytuacji człowiek nie nalega; w każdej chwili w ciągu dnia jej gardło mogło schwytać wspomnienie zimnego pomieszczenia, gdzie rozchodzi się echo własnych lub obcych krzyków, albo gdy na ubraniach, które wróciły z pralni, spostrzeżę czerwoną naszywkę, a nikt poza nią nie potrafi rozszyfrować tych cyfr i liter. Postarała się więc o posadę sekretarki u znajomego, który kiedyś zaproponował ją, gdy tylko się zwolni. Zwolniła się w tym tygodniu. Lecz widocznie zmieniono opinię co do jej kompetencji, a ona i teraz nie potrafiła prosić.

Ogłoszenie o pracy jako dama do towarzystwa zobaczyła w gazecie. Poprzedniego dnia poszła tam, a zamożna wdowa nie wydawała się nieprzychylnie nastawiona. Dziś dziewczyna miała otrzymać wiążącą odpowiedź.

Służąca otworzyła drzwi salonu. Panna Holm weszła i przy niewielkim stoliku zobaczyła wdowę z inną młodą damą. Siedziały przy na wpół opróżnionych filiżankach kawy. Wymieniono zwroty grzecznościowe, odwaga panny Holm wzrosła.

— No więc — zaczęła wdowa, zerkając na tę drugą damę — wczoraj zadzwoniłam do gospodyni panny Holm, potrzebowałam jakichś informacji. Spytałam, czy panienka jest zdrowa, jest taka wątła, a tamta odpowiedziała jakoś wymijająco, że miała słabe nerwy, że na jakiś czas ją odesłano, ale nie mam jasności. Czy faktycznie tak było?

Panna Holm spuściła wzrok na wzór na dywanie. Od razu domyśliła się, że obie damy musiały odgadnąć prawdę na podstawie wymijającej odpowiedzi gospodyni. Czuła, jak podejrzliwie węszą wokół niej. Czy pacjentka zakładu musi bezwarunkowo być dziką bestią, potworem, który miałby nagle się zerwać i zamienić w zniekształconą postać albo z rykiem rzucić się na porządnym ludzi? Tak sądzono. Obawiano się przyjąć ją do pracy.

Rozmowa w pięknym, oddychającym kulturą wysoką salonie nie trwała długo i gdy panna Holm wyszła na ulicę, na długą chwilę zatrzymała się przed witryną sklepową, lecz jej zmęczony wzrok niczego nie widział. Straciła ochotę na dalsze próby zdobycia pracy. Być może istnieli jacyś ludzie bez uprzedzeń. Nie pamiętała, w jakim kontekście, ale słyszała, że tacy istnieją. Wiedziała, że otwarto biuro wyłącznie po to, by pomóc takim jak ona; doktor nawet radził jej udać się tam w razie potrzeby, ale ona nie miała siły. Świat po drugiej stronie krat ogrodzenia zmęczył ją.

Wtem odwróciła się i zaczęła przyglądać się mijającym ją ludziom. Tacy wścibscy! Tacy zażywni! Aż zalatywało od nich smażonym mięsem i regularnymi nawykami. Dzieci były lepsze. Staraly się naśladować ruchy i miny dorosłych, ale zupełnie im to nie wychodziło. Tupwały. Potykały się. Wybuchaly piskliwym śmiechem, gdy coś je rozbawiło, albo głośno zawodziły, gdy coś poszło wbrew ich myśli. A w ich oczach igrała baśń — wielka, zwariowana i cudowna baśń, która w swej miękkiej, różowej glinie potrafi przekształcać światy.

Panna Holm zaczęła z wolna iść przed siebie. Niebawem jej kroki stały się bardziej zdecydowane, jak gdyby teraz miała cel, do którego zmierzała. Ale nie skręciła w swoją uliczkę — choć klucz, kiedyś tak wyteśkniony, lekko ciążył jej w kieszeni — tylko ruszyła po tramwajowych szynach prowadzących z centrum miasta do miejsca, gdzie życzliwy stróż otworzył ciężką bramę. Tam jej się nie bali, tam byli dobrzy i wspierający, tam

Szaleniec, Praca, Pozycja społeczna

Dziecko

rozumieli, że jej choroba jest tylko chorobą, a nie przestępstwem, za popełnienie którego pacjent traci obywatelskie zaufanie.

IV

W parku panna Holm rozpoznała kilku pacjentów. Kawalek za nimi szła siwa starszka. Podniosła wzrok i spojrzała na pannę Holm; nieco smutny, rozpoznający uśmiech przesunął się po jej twarzy. Szerokimi schodami szli jeszcze inni w towarzystwie pielęgniarek, a gdy panna Holm siedziała w pokoju przyjęć, zdało jej się, że twarze, które przed chwilą spotkała, stapiały się w jedną — patrzyła na nią para złęknionych oczu. I w tej jednej jedynej parze oczu odnalazła cały swój strach przed ludźmi tam, w wielkim mieście, cały swój strach przed potwornym losem, całą swą rozedrganą niemoc, gdy próbuje odsunąć żelazną dłoń ściskającą jej głowę. Ale gdy przyjrzała się tym oczom, jej cierpienie roztopiło się; poczuła, jak w środku rozpala się pragnienie, by pomagać i rozumieć. Pragnienie silniejsze od jej strachu. I gdy już stała w gabinecie doktora, wykrzyczała płomienną prośbę:

— Proszę mi pozwolić nauczyć się pomagać! Są moimi braćmi i siostrami, bardziej niż ludzie za kratami ogrodzenia!

Doktor o dobrych, życzliwych oczach uważnie przyjrzał się pannie Holm. Policzki jej płonęły. Oczy błyszczały jak w ekstazie.

— Sądzę — powiedział powoli — że panna Holm jest wciąż trochę rozchwiana i potrzebuje więcej odpoczynku. Panienska nie pogodziła się jeszcze z rzeczywistością.

Po czym zadzwonił do przełożonej pielęgniarek i spytał, czy dawny pokój panny Holm jest wolny.

FIGI I DAKTYLE

Świeże figi i daktyle już w sprzedaży.

Lewi & Co.

Przeglądając poranną gazetę, pani Ragnhild Sundling przeczytała ogłoszenie, jak czyta się większość ogłoszeń, lecz nagle przestała przewracać strony i roztargniona utkwiała wzrok w słowach: „Świeże figi i daktyle...”. Popatrzyła przez okno, a potem znów na gazetę. Na zewnątrz padał śnieg. Nie był to radosny, wirujący taniec płatków, które zimną ścielą się miękką bielą na ziemi, tylko okropny, drobny deszcz ze śniegiem, który rozpuszcza się jeszcze w locie i zaraz zamienia się na ulicach i placach w brunatne błoto zmieszane z ostatnimi pomarszczonymi liśćmi, opadłymi z marznących drzew. Promienniste dni końcówki lata i przezroczyta klarowność wrześnieowego powietrza przeszły, nim człowiek zdążył się obejrzeć, w najciemniejszą porę roku.

Pani Sundling zapatrzyła się przez okno. Szyby błyszczały. Właśnie je umyto. W rogu, niczym pieczęć, tkwił kciuk — na tyle duży, że pewnie należał do sprzątaczk, ale nie to widziała pani Sundling. Poprzez smugi deszczu, za domami, tworzącymi wokół podwórza zwarty, brązowy mur o wystających kopułach poddaszy i czarnych kominach, jej spojrzenie zagubiło się w jakiejś nieokreślonej dali. Widziała figi i daktyle! Nie te w opakowaniach czy wielkich skrzyniach, o nie, widziała te, które kołyszają się na wysokich palmach i błyszcżą na fioletowo pośród ciemnego listowia.

Pewnego razu, gdy pani Sundling jako młoda mężatka odbyła wspaniałą i jedyną podróż za granicę, trafiła wraz z mężem na jedno z tych niewielkich, białych wybrzeży Morza Śródziemnego⁹. Znajdowały się tam uliczki otoczone palmami daktylowymi. Przypomniały jej się, gdy teraz siedziała przy uprzątniętym po śniadaniu stole. Wysokie, smukłe, o nagich pniach, u szczytu nosiły liście, tak jak szczupły Indianin nosi bujny pióropusz. W ogrodach u ich stóp, w iście królewskim przepychu, kwitło całe bogactwo Południa: róże, kaktusy, żółta mimoza, jasnorożowe kwiaty brzoskwini... Leżały u brzegów błękitnego morza, jakby wyniesione z jego tajemnych głębin, a potem rozproszone dokoła niczym diamenty, by zdobić białe domki, zbudowane przez ludzi.

Gdy pani Sundling o tym pomyślała, jej serce wypełniła namiętna tęsknota. Zawsze się tam tliła pośród spraw i trosk codzienności. Czasem rozpalała się płomieniem — jak

Wspomnienia, Tęsknota,
Marzenie

⁹Morze Śródziemne — morze międzykontynentalne pomiędzy Europą, Afryką i Azją. [przypis edytorski]

teraz. Wówczas kobieta pragnęła rozłożyć ramiona, czule i z drżeniem poprosić o skrzydła, by móc przyłączyć się do stada wędrownych ptaków, które jesienią odlatywały do krainy nad błękitną wodą. Ale nie była uskrzydłym stworzeniem, jej ramiona tkwiły w statecznym ciele, nadającym się do goszczenia na ziemi. Kiedy teraz je opuściła, z pewną ironią pomyślała, że jest żoną pedantycznego urzędnika i matką czwórki dzieci, które hałasują w pokoiku obok. Z ogłoszenia w gazecie unosiły się jednak nawoływania obcego ptaka; mieszały się ze sklepowym wrzaskiem o najlepszym steku cielęcym, tanich skrawkach na gulasz i margarynie.

— Co na obiad?

Kucharka wetknęła głowę, na której, na cześć wielkich porządków, zawiązała szalik w kratkę. Do ciepłego pokoju wdarła się wilgotna, surowa woń mytych podłóg.

— Pudding z dorsza — odparła pani Sundling lakonicznie.

— Mhm, a zatem!

Kraciasty szalik już prawie zniknął, gdy pani Sundling wykrzyknęła:

— Nie, nie dorsz! Mam dość dorsza, klopsów i puddingów z resztek. Niech Klara przyrządzi dziś coś specjalnego, pikantnego i wybornego.

— Dla sprzątaczkę? — zdziwiła się Klara.

— Acha, to niech będzie, jak mówiłam — westchnęła pani Sundling.

Wpadły dzieci. Jedno miało wielką dziurę na właśnie zacerowanej skarpetce, drugie przycięło palec, trzecie dostało w szkole naganę, a czwarte stukło maminą wazę, która była pamiątką.

Pani Sundling wstała. Dłużej nie wytrzyma. Czuła się podle, siłą przytwierdzona do tego nikczemnie mieszczańskiego otoczenia, gdzie woń mytych podłóg i dorsza rozkwitała w miejsce róż i lilii. Wyszła do miasta. Brunatne błoto zmoczyło jej trzewiki, spod aut na ubranie bryzgały brud i olej. „A więc to tak!”, pomyślała, rzucając przechodniom miazdzące spojrzenie. „Z tej przeklętej ziemi nie wykielkują palmy!”.

Szła dalej, bez celu; marzła, była przemoczona, a niebawem też głodna. Wszystkie te nieprzyjemności potraktowała jak prześmiewcze wyzwanie tego świata, który zamiast pięknych, płomiennych kwiatów i urokliwych widoków miał dla niej brzydkie budynki i ohydne wnętrza. Nie czuła się tu dobrze. Nagle przystanąła. Za czym tak biegnie? Przecież nie za palmami! A i owszem, na horyzoncie dojrzała je, jak w nadmorskiej bryzie chylą zgrabne pnie. Ta wizja, wyczarowana przez drobne ogłoszenie, wciśnięte między inne anonse, wypędziła ją z domu, a teraz chłostała jej zmysły, dlatego wściekała się na wszystko, co ją otaczało.

W tej chwili ktoś ją wyminął, odwrócił się i podszedł.

— Dzień dobry, Ragnhild — odezwał się głos, który rozpoznała.

Uśmiechała się do niej dawna przyjaciółka.

— Co ty robisz w taką pogodę w tej części miasta?

Nieco zawstydzona Ragnhild rozejrzała się dokoła.

— Nie wiem — odparła.

Stojącej obok kobiety od dawna nie spotkała. Gdy się mijaly, zazwyczaj pozdrowiały się skinieniem głowy, to wszystko. Jako młode dziewczęta były sobie bardzo bliskie, ale lata je rozdzieliły. Wyszły za mąż w różnych środowiskach i wprowadziły się do różnych dzielnic. Teraz razem ruszyły chodnikiem. Pani Sundling spojrzała na towarzyszkę. Była wysoka i blada. Ragnhild wiedziała, że tamta wyszła za mąż za niejakiego Knibbla albo Knabbla. Dziwne nazwisko. Był jakimś biznesmenem. Brzmiało to bardzo posępnie.

— Dawno się nie widziałyśmy, Vero — powiedziała głośno Ragnhild.

— Nic się nie zmieniłaś — odparła przyjaciółka — może tylko jesteś ciut, ciut szersza.

— Dużo szersza! — mruknęła Ragnhild. — A ty wyszczuplałaś!

— I oto wszystko, co o sobie wiemy — ucięła tamta. — Nie masz ochoty wejść do mnie na filiżankę kawy?

Szczupła i szeroka wspięły się po schodach kamienicy. Szczupła włożyła klucz do zamka, weszły do przedpokoju pełnego śwędu jedzenia, takiego, który niczym tłuszcz wsiąka w każdą ścianę.

— Nie zdejmiesz płaszczka? — spytała Vera.

Ragnhild powiesiła palto na żółtym swetrze. Inaczej się nie dało, wszystkie wieszaki były zajęte. Ruszyła za przyjaciółką do niewielkiego pomieszczenia; tu też wdarł się

Młodość, Przyjaźń,
Spotkanie

fetor. Za oknami padał śnieg. Na stole leżał płócienny obrus z czerwonymi figurkami. „Nieprzyjemnie tu!”, pomyślała Ragnhild. „Długo nie zabawię!”.

— Przygotuję kawę — powiedziała Vera. — Z pewnością jej potrzebujesz. Wyglądasz na przemarznąętą.

— Nie masz pomocy? — zdziwiła się Ragnhild.

— Kiedyś miałam, ale interesy męża nie idą najlepiej. Muszę radzić sobie sama.

Na moment zniknęła w drugim pomieszczeniu. Słysząc było, że z kimś rozmawia. Wróciła i otworzyła drzwi do kuchni. A gdy tak krążyła między kuchnią a jadalnią, pilnując kawy i wyjmując z kredensu filiżanki i łyżeczki, mówiła. Ragnhild zorientowała się, że jest tak samo otwarta jak dawniej, kiedy skulone w kącie kanapy zwierzały się sobie ze swych ówczesnych, ach, jakże zmyślonych, zmartwień. Teraz te stały się rzeczywiste, przynajmniej dla przyjaciółki. To przez interesy, które tak źle szły, o czym przed chwilą wspomniała.

— Ciągłe rozmawiamy z mężem o pieniądzach, pieniądze i pieniądze...

Ostatnie słowo wykrzyczała, bo musiała wbiec do kuchni i wyłączyć gaz. Zaraz znów pojawiła się w drzwiach.

— Rozmawiamy o pieniądzach — westchnęła — ale niewiele ich widzimy. Zauważyłaś, jaką tajemniczą moc ma okrągła moneta, która tak łatwo wysuwa się z rąk? Mój mąż jest jej więźniem, a im więcej rozmyśla o pieniądzach, tym szybciej znikają i tym gorsze robi interesy. Ale na tych, co chodzą z głową w chmurach, o niczym nie myśląc, na nich splywa złoto. To oni wygrywają na loterii główną nagrodę. A my nie, o nie, my nie.

Kawa była gotowa, Vera wniosła tackę. Spytała Ragnhild o jej życie, a ta opowiedziała o mężu i dzieciach, już zapomniawszy, że przed chwilą wybiegła z domu wściekła i znużona.

— A ty, nie masz dzieci?

Przyjaciółka, która z uśmiechem przysłuchiwała się Ragnhild, podniosła nagle wzrok.

— Owszem — odparła, a po jej twarzy przemknął cień. — Mam jedno. Ma cztery lata i siedzi tam. — Wskazała na zamknięte drzwi. — Myślisz pewnie, że jest tak cicho. Zazwyczaj słyszy się dziecko przez zamknięte drzwi. Krzyczy albo się śmieje, albo tupie niesforne i wali rączkami w ścianę. Przemyka po podłodze drobnymi kroczkami, które w przyszłości, niezależnie od tego, jak duże jest już dziecko, dźwięczą matce w sercu. Ale moje dziecko jest chore. To dziewczynka. Jest sparaliżowana i niewiele mówi. Chodź, zobaczysz.

Weszła do drugiego pokoju. W łóżku, podparte na poduszkach, siedziało blade stworzonko o wielkich, smutnych oczach. Matka pochyliła się nad nią i radośnie do niej mówiła, dziewczynka zaraz się uśmiechnęła. Ale nie był to uśmiech dziecka, przebiegło Ragnhild przez myśl, to raczej uśmiech starej rusalki.

Po powrocie do jadalni przyjaciółki milczały. Ragnhild chciała coś powiedzieć. Tej drugiej było ciężko. Tym bardziej ją to poruszyło, bo pamiętała ją jako młodą, rozmarzoną dziewczynę. Obrus nie wydawał się jej już brzydki. Nie miała też ochoty wychodzić.

— Domyślam się, że się zastanawiasz, jak daję sobie radę. — Vera odpowiedziała na milczące pytania Ragnhild. — Chcesz wiedzieć? Nie twierdę, że sobie radę, mówiąc krótko, wcale sobie nie radzę. Ale widzisz, mam coś, co jest tylko moje.

Ragnhild dojrzała tajemniczy uśmiech, który tak dobrze pamiętała z poufnych rozmów o zmierzchu; uważała, żeby nie dopytywać. Kiedyś ten uśmiech oznaczał coś fantastycznego, co Vera strugała sobie w głowie, już wtedy wypełnionej marzeniami. Cokolwiek to teraz znaczyło, nie chodziło o pieniądze, o nich przed chwilą mówiła z taką odrazą.

— Mam coś — powiedziała, a na jej twarz wrócił tajemniczy uśmiech. Rozpałał spojrzenie w tych zgaszonych oczach. — Może głupio to zabrzmie. Nigdy nie miałam ochoty się tym dzielić, aż do chwili, gdy zobaczyłam twoją miłą twarz. Przypomniała mi o tylu rzeczach. Ty nie pomyślisz, że to głupie, za dobrze mnie znasz; także teraz, bo przecież jest tak, że na całe życie pozostajemy takimi, jakimi byliśmy w młodości, w głębi duszy całkiem ci sami, niezależnie od tego, czy potem chudniemy, tyjemy czy siwieją nam włosy. Pamiętasz, że jako młoda dziewczyna marzyłam o czymś nieosiągalnym, szalonym, o czymś więcej niż błękitne góry?

Pieniądz

Dziecko, Choroba, Matka

Marzenie

Owszem, Ragnhild pamiętała, uśmiechnęła się, marzenia tej drugiej budziły bowiem jej własne.

— Nie przestałam — ciągnęła Vera. — Nie potrafiłam przestać marzyć. Na początku małżeństwa powiedziałam to na głos. Męża to przygnębiło. Nie rozumiał zabawy wyobraźni: marzyć o czymś i jakby zapomnieć o tym, że się tego pragnie, jak gdyby pragnienie samo w sobie miało wystarczyć. Wówczas przestałam o tym mówić. Lecz wszystkie pragnienia gromadziłam w sobie. Aż brakło miejsca. Stały się czymś niezależnym, falującą, bajkową wyspą, zawsze blisko mnie, światem niewidocznym dla innych; tam wszystko, o czym marzyłam, spełniło się. O to mi chodzi, gdy mówię, że mam coś własnego. Rozumiesz?

Ragnhild przytaknęła. Rozpromieniła się. Przyjaciółka rzuciła jej szybkie spojrzenie.

— Widzę, że wiesz, o co mi chodzi. Większość kobiet ma taką wyspę, oazę; mogą tam uciec od codzienności i ciężaru, który więzi ich stopy na ziemi jak w bagnie. Na mojej wyspie nie ma zmartwień o pieniądze. Pomarszczone czoło mojego męża jest gładkie, a mała biega w ślicznych niebieskich bucikach i zbiera kwiatki. Widzisz, moje marzenia nie ciągną się już za błękitne góry, poruszają się wśród spraw bardziej widocznych, choć równie nieosiągalnych. Ta falująca wyspa mi pomaga. Roztacza nad moją codziennością zielonkawą poświatę. Więc wszystko nie jest aż tak beznadziejne.

Ragnhild nagle wstała.

— Muszę wracać do domu — powiedziała pospiesznie.

Vera zdziwiła się.

— Co znowu? Znudziłam cię?

— Och nie, ty moja niemądra marzycielko ze swoją bajkową wyspą. Nie wiedziałam, że ja też taką mam, póki nie zaczęłaś opowiadać. Rano wybiegłam zmęczona dziećmi, smrodem podłóg, wszystkim. Zobaczyłam ogłoszenie, małe, niewinne ogłoszenie o świeżych figach i daktylach. Zaraz ukłuła mnie tęsknota za odległymi krajami. Poczulałam się jak ściśnięta w imadle, nawet dzieci zniecierliły, bo naprawdę marudziły bardziej niż zwykle. A teraz wiem, że mogę zrobić jak ty. Niech palmy z daktylami powiewają nad moim domem. Myśl jest szybsza od wiatru i światła. Zobaczysz, jak tylko wrócę, na mojej wyspie już będą kołysać się palmy.

Ragnhild wracała do domu. Tak szybko nie wyszła od przyjaciółki. Było już późno, spieszyła ulicami. Wciąż padał śnieg, ale świeciły latarnie, a ich blask rozjaśnił szarą mgłę. Na schodach Ragnhild spotkała sprzątaczkę, która w swym szorowaniu dotarła aż tutaj.

— Proszę mi powiedzieć — odezwała się Ragnhild, a szcotka ociekająca wodą z proszkiem zatrzymała się w połowie drogi nad kamienną podłogę. — O czym Karin marzy?

— O korkowej podłodze, żebym przynajmniej u siebie nie musiała szorować — odparła stara, gruba kobieta bez chwili namysłu.

Ragnhild zaśmiała się w duchu i ruszyła w górę. „Cóż, oto jej bajkowa wyspa”, pomyślała, „chodzi po niej suchą stopą, podczas gdy dzień w dzień brodzi w brudnej wodzie i pianie po cudzych podłogach”.

— Jakaś ty rozpromieniona! — zauważył mąż Ragnhild chwilę później, gdy usiedli do stołu. Cztery pary okrągłych dziecięcych oczu podążyły za ojcem i zatrzymały się na jej twarzy.

— Świeże figi i daktyle są już w sprzedaży! — wymamrotała pod nosem i nałożyła sobie puddingu z dorsza.

PRZEMALOWANA KAMIENICA

I

Thure Friis wyciągnął się na piasku i zamknął oczy. Osłepiały go promienie słoneczne, odbijające się od błękitnej powierzchni morza i białej plaży. Woda kołysała się w stronę lądu. Szemrała, łagodnie śpiewała, nuciła, a odgłos ten wypełniał powietrze i rozbijał się o radosny świst jaskółek i głośnie poćwierkiwania ptaków z lasku. Cała socjeta duńskiego kurortu zebrała się nad wodą. Nie przejmowali się specjalnie dużą, niekształtną łaźnią. Młode dziewczęta w eleganckich kostiumach i barwnych czepeczkach wbiegały prosto do

Morze

morza, rozbryzgując je w błyszczącej deszcz; inne siedziały na piasku w długich szlafrokach, podczas gdy kawalerowie półleżeli obok i rozmawiali.

Thure Friis należał do tego towarzystwa od dłuższego czasu, a beztraska w dziewczęcym śmiechu i lenistwo trzepoczące w powietrzu zaraziły go. Prawie zapomniał, że po drugiej stronie cieśniny czeka na niego szerokie biurko w nudnym gabinecie, w nudnym mieście. Zdało mu się nawet, że zapomniał o wszystkim, co wiązało się z jego dawnym życiem; nie pamiętał o nim aż do wczorajszego wieczora!

Lekko się odwrócił. Słońce mocno paliło, pod powiekami migały mu czerwone i niebieskie punkciki. Ktoś nieopodal się zaśmiał, w mgnieniu oka wybuchła cała kaskada śmiechu. Ale on nasłuchiwał wody, która wytrwale i jednostajnie uderzała o piach i kamienie.

No tak, wczorajszy wieczór! Szedł od strony wioski do hotelu. Zmierzchało, potykał się o kocie łby ulicy. Od morza bił zapach wodorostów, smoły i soli, który tak uwielbiał, a pomiędzy obłokami przepływającymi po niebie dojrzeć można było duże, migoczące gwiazdy, które to skrywały się, to znów wyglądały, jak gdyby sklepienie nad jego głową było wielkim, kiwającym się parasolem, co pozwalało gwiazdom i chmurom tańczyć coraz szybciej. Był już bardzo blisko hotelu, kiedy otworzyły się jakieś drzwi i nagle na chodnik wylało się światło, a po kocich łbach potoczyło się radosne *staccato*¹⁰ tanecznej melodii. Odruchowo zrobił kilka kroków w cień przy płocie po drugiej stronie ulicy.

Przez drzwi wyszli mężczyzna i kobieta, z wolna go minęli. Rozpoznał mężczyznę. Kilka razy widział go w jadalni, a ona — to Sonja! Jak bardzo baśniowe, jak niewiarygodne się to wydało, była to jednak ona. Nie mógł pomylić tych blond włosów, rysów twarzy, tej sylwetki. Niechcący wykonał gwałtowny ruch, na co ona się odwróciła; nie rozpoznała go w mroku, jakby wystraszona chwyciła towarzysza pod rękę.

Przez moment olbrzymi parasol nieba kręcił się z taką prędkością, że on zatoczył się i oparł o płot. Gdy wrócił na chodnik, tamci zniknęli mu z oczu. Poszedł prosto do swego pokoju i uchylił okno wychodzące na morze. Długo tam stał. Aż w końcu, nieodparcie, wypowiedział dwa słowa, których od bardzo dawna nie używał. Rozśpiewane morze wchłaniało je, po czym znów rzucało w stronę jego okna:

— Moja żona! Moja żona!

Nie widział jej od paru lat i nie zamierzał ponownie jej zobaczyć. Rozstali się jak dwoje ludzi, którzy mieli się już nie spotkać, a ona nagle pojawia się na schodach hotelu i mija go w towarzystwie innego mężczyzny. Nawet wkłada rękę pod jego ramię.

Nie był w stanie zejść na dół na kolację. Nie mógł spotkać jej w ostrym, elektrycznym świetle. Nie wiedział jeszcze, czy w ogóle może ją spotkać. Co by powiedziała, gdyby się zobaczyli? Jak by wyglądała? Tak dobrze pamiętał rumieniec, jaki rozkwitał na jej bladej twarzy, kiedy przydarzało się coś niespodziewanego.

Ale dziś podczas śniadania przywitali się. Jej stolik znajdował się bardzo blisko jego, przy dużym oknie werandy z widokiem na morze. Dokładnie tak, jak to sobie wyobraził, zacerwieniła się, lecz rumieniec szybko znikł, przywracając jej bladość.

Odwracał się niecierpliwie, jakby myśli nie dawały mu spokoju, i nagle mimowolnie się roześmiał.

Dlaczego to drobne szczegóły ze wspólnej codzienności zapadają w pamięć tak, że to je jako pierwsze się dostrzega podczas spotkania? Siedząc przy swoim stoliku, tylko czekał aż ona rozbije jajko, a nie — jak wszyscy — odetnie wierzch ostrzem noża. Kiedyś zawsze tak robiła: rozbijała jajko, a potem bardzo ostrożnie odrywała kawałki skorupki palcami. Teraz tak samo! Westchnął z ulgą, jakby przez chwilę obawiał się, że jakoś mogła się zmienić. I jeszcze sposób, w jaki piła kawę. Zazwyczaj nalewała śmietanki, a dopiero później kawy. Przypomniał sobie, jak powiedziała, że zaczęła tak robić dla żartu, a potem po prostu nie przestała, uznawszy, że tak jest smaczniej. Ileż razy się z tego śmiał, ileż razy próbował jej dokuczyć, zapominając o jej nawyku i podając jej gotową kawę... Chwycił gazetę, żeby nie dostrzegła, że ją szpieguje; znad brzegu widział każdy jej ruch. Właśnie wlewała śmietankę.

— Zupełnie jak dawniej — mruknął, zapominając o własnej stygnącej kawie.

Spotkanie, Mąż, Żona

Wspomnienia

¹⁰*staccato* (wl.) — termin muzyczny, oznaczający zdecydowane rozdzielenie dźwięków. [przypis edytorski]

Zaraz potem ten drugi podszedł do jej stolika, przystanął i zaczął rozmawiać, jak gdyby miał do tego prawo. Thure Friis szybko przewracał strony gazety.

„Jest przecież za młoda”, pomyślał urażony, „powinna mieć męża, który by ją chronił od takich łobuzów, skoro sama nie potrafi”.

Nagle uderzyła go paradoksalność tej myśli. Przecież to on był — czy powinien być — jej mężem, tymczasem siedzi tu i po kryjomu obserwuje ją znad gazety.

Wstał i ruszył w stronę łaźni, żeby się ubrać. Od niechcienia wodził wzrokiem po kąpiących się paniach. Wtem zatrzymał się. Sonja wchodziła do wody...

Zaraz potem w drzwiach łaźni natknął się na tego drugiego. Miał potężny, kanciasty podbródek i energiczne spojrzenie, wskazujące na to, że przywykł do egzekwowania własnej woli.

Friis w milczeniu przepuścił go w drzwiach.

II

Po południu spotkali się podczas spaceru po lesie. Sonja trzymała błękitną parasolkę, dostrzegł ją z daleka. Kiedyś miała podobną. Zaraz za nią szedł jej kawaler: ten sam, którego tyle razy już widział. Thure natomiast był w towarzystwie dość uroczej, młodej dziewczyny, która nadaremnie starała się domyślić, dlaczego dziś jest taki małomówny.

Wczorajszego wieczora dziewczyna poznała Sonję i teraz przystanęła uprzejmie, by ją przedstawić. Tak doszło do tego, że Thure Friis i Sonja Barck zostali sobie przedstawieni po raz drugi.

Wiedział, że wróciła do panińskiego nazwiska. Gdy teraz je usłyszał, miał wrażenie, że minione lata gdzieś znikają, a on znów kłania się przed tą młodą dziewczyną, którą nigdy nie było. Lecz zaraz, gdy wszyscy razem ruszyli ścieżką, lata ponownie wróciły na swoje miejsce. Wiedział o tym. Trzeba je wliczać, te wszystkie lata, podczas których młoda dziewczyna była jego żoną.

Ona przyglądała mu się z boku. Nie zmienił się, aż po ten maleńki zawijas we włosach, którego nigdy nie udało się gładko ułożyć, nawet wspólnymi siłami. Zdziwiło ją, że był tak do siebie podobny. Zdawało jej się, że ten długi okres, który minął od rozstania, powinien być go odmienić, przynajmniej trochę. Ale gdy tak szedł obok niej, miała wrażenie, że tylko na chwilę zniknął i zaraz znów zajął miejsce obok niej.

Mimowolnie dorównała mu kroku. Uśmiechnęła się. Jakie to proste! Lekko wymachiwał jedną ręką, co dawniej ją denerwowało. Teraz uznała, że robi to rażne, miłe wrażenie. Ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Pozostała dwójka, nie mająca o niczym pojęcia, szła na tyle blisko, że nie mogła zwrócić się do niego *per* „ty”. Wreszcie się odezwała:

— Mieszka pan w Danii?

Spojrzał na nią, lecz drobny, poważny profil pod słomianym kapeluszem niewiele zdradzał.

— Nie — odparł po chwili. — Mieszkam w miasteczku po drugiej stronie. O, tam — wskazał na cieśninę. — Zresztą to dość urocze miasto — dodał z uśmiechem.

— Ależ proszę opowiedzieć! — poprosiła.

Ponownie starał się upewnić, czy ona żartuje czy nie, lecz nie raczyła odwrócić do niego twarzy. Wtem zrozumiał. Pragnęła dowiedzieć się czegoś o mieście, o ich mieście... Od dawna tam nie była. Za plecami słyszał kroki i rozmowę tamtej dwójki, ale pomyślał sobie, że ten kanciasty mężczyzna, chyba Henderson, jeszcze ich nie słyszy.

— Dawniej było piękniejsze — powiedział. — Ostatnimi laty wybudowali wielkie kamienice wokół ryneczku, który kiedyś był prawdziwą idyllą. Szkoda! Ale — dodał pospiesznie, jak gdyby chciał ją pocieszyć — w zamian gdzie indziej wyburzyli domy. Naprzeciwko mojego okna stała stara ruina. Teraz jej już nie ma, za to wyglądam na uroczy skwer.

— Pewnie podwyższyli czynsz? — spytała nieco zmartwiona.

Uśmiechnął się wręcz frywolnie.

— O, w rzeczy samej! — rzekł.

„Ach, moja mała!”, pomyślał wzruszony, „gdybyś widziała, jak prowadziłem spis wydatków, od kiedy wyjechałaś!”.

Przypomniawszy sobie, jak przeglądała ich rachunki, jak — mądralińska — liczyła i dodawała, marszcząc przy tym czoło i przygryzając ołówek, a gdy brakowało jakiejś sumy, z niezadowoloną miną dopisywała „różne” tym swoim porządnym, okrągłym pismem.

— Całą kamienicę pomalowali na żółto, z zielonymi futrynami okien — dodał.

— Ach tak — odparła krótko, tonem, który wydał mu się oficjalny.

Głośno się zaśmiał. Wyraźnie nie podobało jej się to przemalowanie. Westchnął. Nie mógł sobie przypomnieć więcej nadzwyczajnych rzeczy, które wydarzyły się w mieście, a pan Henderson zaraz się wtrącił.

Parasolka rzucała na jej twarz niebieskawy odcień. Wiedział o tym, choć na nią nie patrzył. To światło, które nadawało jej oczom tajemniczego blasku, kiedyś go zachwyciło. Było to również pod koniec lata. Lecz wtedy lata, które teraz minęły, rozciągały się przed nimi, a nie za nimi; nie mieli pojęcia, co te lata z sobą przyniosą.

Nie, nie mógł już dłużej na nią nie patrzeć. Lekko się uśmiechała. Drażniło go, że sprawiała wrażenie niewzruszonej. Czyżby jedyne, co obudziło jej ciekawość, to ten stary dom, który przemalowano? Irytowało go także, że Henderson deptał mu po piętach. Dawniej nie byłoby żadnego Hendersona. Teraz ich dogonił.

— Mieliśmy przecież iść na molo — spojrzał na Sonję z wyrzutem.

— Ach, tak! — wykrzyknęła. — Musimy się tu rozejść, panie Friis.

Wokół jej oczu krążył niebieskawy połysk; promyk słońca, który przedarł się przez bukowe listowie, zadrżał niespokojnie na jej białej sukience.

— Do zobaczenia — powiedziała, podając rękę byłemu mężowi, a Thure Friis wziął słowa pożegnania za obietnicę.

III

Spotykali się codziennie. Nie dało się tego uniknąć, ponieważ żadne z nich nie wyjechało, a kurort był bardzo mały. Poza tym żadne z nich nie chciało wyjeżdżać! Coś ich w tym miejscu trzymało. To coś oboje zajmowało równie żywo. Wiązało ich myśli, rozśmieszało podczas zwykłej rozmowy. To ich wspomnienia, ich wspólna własność.

Zdawało jej się, że ta błękitna, połyskująca woda, która opływa także keje tamtego miasteczka, sprowadzała tutaj wspomnienia — jakby fale szeptały wprost do jej uszu. Przybyła do kurortu ze względu na Hendersona. Prawie podjęła decyzję, że za niego wyjdzie. Często rozmawiał z nią o przyszłości. Przyszłość należała do niego. Przedstawiał ją śmiałymi ruchami, przekonany, że ta porwie kobietę tak samo jak jego. Ona jedynie się uśmiechała. „Przyszłość?”, pytała w nieobecny, zaciekawiony sposób, jakby nie rozumiała.

Przyszłość? A cóż to takiego? Biała mgielka w oddali, która umyka każdej żarliwej próbie zarysowania konturów w jej luźnej masie. Natomiast przeszłość nie była mgielką! Przeszłość wypełniały najwspanialsze rzeczy, które należały do niej — do niej! Znajdowały się tam tak prawdziwe rzeczy jak śniadanie na stole, kwiaty i pokój. Była tam też pewna postać, poruszająca się po pomieszczeniach, były słowa, czule wyszeptane słowa i pieszczoty, jeszcze prawdziwsze pieszczoty!

Wszystko to znaczyło teraz dużo więcej niż energiczna dłoń, rysująca przed nią kontury przyszłości.

IV

Było to niewielkie, trochę dziwaczne kino, jedyne w kurorcie. Ścian niedużej widowni nie pokrywały żadne malowidła. Sufit miał kształt kopuły; para jaskółek pobudowała tam gniazdo. Między aktami, gdy pomieszczenie rozświetlało białe, płowe światło, rozbrzmiewał znajomy świst jaskółczych skrzydeł — dwa ptaki ganiały się tuż nad głowami widzów. Ich cienie tworzyły fantastyczną japońskość na kremowych ścianach, a świst przecinał gęste powietrze niczym nóż.

Orkiestrę mieli tu niewiele wartą. Przy ekranie stał fortepian, na nim palce młodego pianisty produkowały brzęczące hałasy. Od czasu do czasu jazgot zagłuszał sam kinematograf, terkoczący po drugiej stronie pomieszczenia, jakby za małym, kwadratowym otworem umieszczono dziesiątki uli.

A jednak co wieczór do kina schodziły się tłumy. Wcale nie miejscowi, a kuracjusze, którzy, teraz — gdy lato chyliło się ku końcowi, a wieczory stawały się coraz ciemniejsze — w ten sposób spędzali czas. Wyśmiewano młodzieńca przy fortepianie, kiedy wściekły

walił w klawisze, drwiono z bzyczenia z kwadratowego otworu, chichotano z głośnych nawoływań chłopca od słodyczy i świstu jaskółek. Ale gdy w pomieszczeniu zapadała ciemność, a na białym ekranie pojawiała się jedna scena za drugą w wymuszonym, nerwowym tempie, dłonie potajemnie szukały się nawzajem i tuliły się jedna w drugiej w krótkiej miłosnej nocy kinowego salonu — do momentu, aż światło znów rozbłysło, a jaskółki ponownie wszczynały radosną zabawę.

Thure Friis i Sonja Barck znaleźli się tam tego samego wieczora, w towarzystwie pana Hendersona i młodej dziewczyny.

Gdy pojawiły się pierwsze obrazy, a potem napisy, Sonja nachyliła się i szepnęła:

— Mam czytać napisy, jak dawniej?

Ona też nie zapomniała. Tak bardzo się ucieszył, że miał ochotę podrzucić kapelusz w stronę jaskółczego gniazda.

W tamtym niewielkim miasteczku nie było filharmonii ani teatru, ale czasem chodzili do kina, a ponieważ on był krótkowzroczny, ona czytała mu napisy — tak cicho, że tylko on słyszał jej słowa. Zdarzało się, że zapominał o obrazach, by tylko słuchać jej głosu i cieszyć się jej bliskością.

Tak było i teraz. Nie przejmował się piękną twarzą bohaterki ani przygodami bohatera. Słyszał, jak głos Sonji cicho wypowiada banalne zdania, nie rozumiał nawet najprostszych słów. Zdało mu się, że w tej ciemności ona wyszeptuje mu ich historię. Jej ramię lekko musnęło jego, rąbek jej cienkiej, letniej sukienki przesunął się po jego kolanie. A jej głos wywoływał obrazy w jego wnętrzu. Z pewnością nie mieli aż tylu przygód ani nie byli tak wytworni jak tamci z ekranu. Nie dokonali żadnego bohaterskiego czynu. Nawet nie uratował ukochanej od śmierci, czym zablysnął bohater filmu, ani nie wdrapał się do niej po rynnę w środku nocy, nigdy nie kusilo go opróżnienie flakonika z trupią czaszkę. Nie, ale było coś innego!

Był ogień, rzucający ciepły blask na umeblowany na biało pokój, a przy ogniu siedział on, bohater domowego spektaklu. Po prostu siedział i patrzył na płomień; po chwili otworzyły się drzwi, a do środka weszła jego żona w czerwonej sukni. Chwyliła oburącz jego głowę i pocałowała. Po prostu! Ale był to on i Sonja. Jakże potem tęsknił za tymi chwilami przy kominku. Często odwracał się na krześle, gdy ktoś otwierał drzwi; wydawało mu się, że dostrzega czerwoną suknię, lecz za każdym razem był tylko zawiedziony.

Teraz pokój był rozświetlony. Jego młoda żona usiadła przy fortepianie. Co też zagrała? Nie pamiętał. Brzmiało jak uderzenia fal.

Teraz blask księżycy wpadał do ich sypialni i spływał na jej śpiącą twarz. Jasne włosy rozsypały się po poduszce, rzęsy opadły na policzek.

Nic innego! Tylko dwoje ludzi w bezpiecznych ścianach domu. Jakże jednostajnie! Znudzili się czy tylko tak im się wydawało?

Nagle w salonie zapalono światło. To antrakt. Rozejrzał się po ludziach. Jego wzrok padł na skrawek sukienki Sonji, leżący na jego kolanie. Jakby ten rąbek był łączącym ich ogniwem. Czy rozumiała, że tak musi być? Znowu zgaszono światło, a cichy głos ponownie zaczął czytać.

V

Nielatwo jest wypowiedzieć prośbę o rękę po raz pierwszy, lecz drugi raz wydaje się wręcz niewykonalny. W każdym razie Thuremu Friisowi tak się zdawało. Powtarzał sobie wszystkie możliwości.

— Czy zechcesz...? Nie uważasz...? Czy nie moglibyśmy...?

Każda równie idiotyczna! Sonja na pewno zrozumie, ale mu nie pomoże. Zresztą to do niej niepodobne. Nie, musi sobie poradzić sam.

Najgorsze, że podejrzewał, iż tamten o kanciastym podbródku chodzi i żongluje tymi samymi zdaniami:

— Czy zechcesz...? Nie uważasz...? Czy nie moglibyśmy...?

Gdyby tylko ci dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, słowa przecięłyby się w powietrzu. A Sonja się uśmiechała.

Tańczyła z Thurem Friisem w sali balowej hotelu. Chodzili po plaży, a Sonja zbierała muszelki; jej jasna sukienka miękko falowała za każdym razem, gdy się schyliła. Spacerowali po lesie. Lecz wciąż pojawiał się pan Henderson. Friis go zniechęcał.

Zazdrość

Były piękne, ciepłe dni. Morze i niebo stapały się w błękit z błękitem, słońce rzucało na wszystko żółty i biały blask.

Pewnego przedpołudnia Thure Friis zszedł do przystani. Po drodze spotkał pana Hendersona. Wyglądał na tak zasmuconego, że Friis po raz pierwszy poczuł do niego życzliwość, a jednocześnie wypełnił się radością.

„Czy zechcesz...? Nie uważasz...? Czy nie moglibyśmy...?”, śpiewało w nim. Zdawało mu się, że słowa nabierają kształtów i żeglują niczym małe jachty na niebieskim morzu.

Sonja stała przy pomoście, oparta o poręcz. Była zamyślona. Przed chwilą musiała wyjaśnić adoratorowi, że przyszłość jest niczym w porównaniu z niektórymi zwykłymi zdarzeniami, które rozegrały się w kilku pokojach obecnie obrzydliwie przemalowanej kamienicy w pewnym miasteczku.

Gdy nadszedł Thure Friis, uśmiechnęła się. To ten uśmiech nagle go ośmielił. Ale nie powiedział nic z tego, co obmyślił. Stali razem w milczeniu, przyglądali się parowcowi.

— Bardzo się przejmujesz tym, że tak ją przemalowali? — spytał nagle. Mówiąc „ją”, miał na myśli ich starą kamienicę.

— Och nie, to nie ma znaczenia — odparła.

Chwilę później, gdy patrzyli z nabrzeża, jak statek wyrusza w morze, oboje wiedzieli, że przy następnej okazji popłyną do niewielkiego miasteczka po drugiej stronie cieśniny.

ZDARZYŁO SIĘ W PEWNYM POKOJU

W pokoju z wyblakłymi tapetami w wielkie kwiaty i z tapicerowanymi meblami, w wózku inwalidzkim siedziała drobna staruszka. Choć wózek oferował wygodne oparcie na miękkich poduszkach, staruszka próbowała od czasu do czasu się podnieść, by siedzieć prosto ze złożonymi rękami. Lecz zaraz opadała do tyłu, a wówczas jej twarz nabierała poirytowanego wyrazu. Była to twarz o okrągłych, pomarszczonych policzkach, bezbarwnych wargach i oczach brązowych jak ziarnka pieprzu. Siwe, rzadkie włosy ktoś zaczesał na wałku.

Stół przy kanapie nakryto białym obrusem, znajdowały się na nim filiżanki do kawy, półmisek z ciasteczkami i tort, na środku którego zielonym lukrem napisano „Witamy”. Staruszka rzucała na stół zadowolone spojrzenia. Z kuchni docierał zapach kawy.

— Ty młoda ździro, chodź tu! — wykrzyknęła stara donośnym, dziecięcym głosem.

Młoda ździra pojawiła się w drzwiach. Ona także była stara, ale jej twarz była zmartwiona i szorstka.

— Co znowu, proszę pani? — spytała, wycierając ręce w fartuch.

— Czy wreszcie mogę obejrzeć ten tort?

— Po raz dziesiąty? — ucięła tamta, ale bez zniecierpliwienia.

Przybliżyła uroczy tort do wózka.

— No, no — zamruczała staruszka. — Babcia jeszcze się do czegoś nadaje. Ładny! Bardzo ładny! Ale — zmarszczyła brwi — po co ten napis „Witamy”?

— Że też pani jeszcze pyta! Narzeczona małego Paula przyjeżdża dziś z Ameryki, a on chce ją powitać.

— Ple, ple — sarknęła¹¹. — Przecież to tylko dzieci.

To było jej stałe powiedzonko. Dla niej czas toczył się do tyłu, jakby niewidzialna dłoń chwyciła za wózek inwalidzki i przeciągnęła go do przeszłości. Jej dzieci, które teraz się postarzały i miały własne dzieci, nadal były nastolatkami, a gdy zebrało jej się na kaprysy, potrafiła traktować je jak berbecie. Karciała je i całowała bladymi ustami. Widziała, że są dojrzały, ba, już się postarzały, lecz ona tego nie pojmowała. Żyła w szczęśliwej przestrzeni „dawno temu”. Wnuki najczęściej jej się myliły, nazywała je imionami własnych dzieci. Tak też było z Paulem, podobnym do jej syna, który zmarł. Ale o tym zapomniała. Chętnie wspominała, lecz śmierć i starość dla niej nie istniały.

W jej pokoju czas się zatrzymał, regularne tykanie i głuche uderzenia zegara nie karzyły się starej kobiecie z pospiesznymi minutami i godzinami, które zamieniają się w pędzące dni i lata.

¹¹sarknąć — głośno wyrazić niezadowolone. [przypis edytorski]

Wierna służąca wróciła do kuchni. Ona także należała do świata młodości, zgromadzonego wokół wózka. Dalej była młodą żdzirą, którą w sobotnie wieczory należało zamykać na klucz, żeby nie uciekała na potańcówki.

Stara musiała na chwilę przysnąć. Gdy ponownie otworzyła oczy, przy oknie siedział Paul. Był to młody mężczyzna o rozmarzonej twarzy i łagodnym uśmiechu. Niewysoki, wąski w ramionach — zupełnie jak jego ojciec.

— Dzień dobry, babciu. — Skinął uprzejmie. — Babcia spała.

— Oczywiście, że nie — odparła zezłoszczona.

— Poszedłem na pociąg, ale nie znalazłem Anny. Być może zagubiła się pośród tłumu, ale z pewnością od razu tu przyjdzie.

Wyprostował się.

— Och, jak bardzo tęsknię! Moja Anna! Tak długo jej nie było.

Babcia pogłaskała go po dłoni.

— No — westchnęła. — A na moim torcie jest napis „Witamy”.

Podszedł do stołu.

— Rzeczywiście. — Wybuchnął radosnym śmiechem.

Po schodach wchodziły dwie damy. Pięćdziesięciolatka przy tuszy, o brązowych oczach to matka Paula. Druga to jego narzeczona, Anna, młoda i śliczna. Rozmawiały ścisłym, poważnym tonem. Od czasu do czasu matka Paula przystawała zdyszana.

— Nie możesz mu tego powiedzieć — rzekła z wyrzutem. — Oszaleje. Znam go. Jest taki wrażliwy.

— Nie mogłam napisać — odparła złękciona dziewczyna. — Wydawało mi się, że łatwiej będzie, jeśli powiem to wprost. Poza tym i tak miałam jechać do domu.

— Kim jest ten drugi? Lepszy jest od mojego Paula?

— Och nie. — Słysząc było, że Anna ma gulę w gardle. — Ale tam się poznaliśmy. Nie jesteśmy zaręczeni. Ale obiecałam mu odpowiedź, jak tylko wrócę.

Matka Paula znów się zatrzymała.

— Co z ciebie za dziewczyna? — odezwała się ostro. — Jeden tu, drugi tam! Gdyby tylko babcia tu na górze usłyszała. No, teraz nie płacz, bo Paul zobaczy. Chyba umiesz być dla niego miła przez godzinę. Potem możesz uśmiercić jego radość, skoro musisz.

— Proszę nie być taką surową — prosiła dziewczyna. — Jestem szczerą. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

— No pewnie — powiedziała ta starsza nieco życzliwiej. — Tylko nie mów od razu. Znam Paula lepiej niż ty. Z nim trzeba ostrożnie.

Młoda kobieta uśmiechnęła się z wdzięczności, gdy usłyszała łagodniejszy ton. W milczeniu wspinały się dalej.

Paul otworzył na dźwięk dzwonka. Przyciągnął Annę do siebie i wykrzyknął:

— W ogóle się nie zmieniłaś! — Przyjrzał się jej rozpromieniony.

Nie zauważył jej białych policzków i zagubionego wzroku. W niektórych sytuacjach był zadziwiająco podobny do babci — ona widziała tylko to, co chciała.

— Potem dłużej porozmawiamy — rzekł i pomógł jej zdjąć płaszcz. — Ale najpierw musisz skosztować babcinego tortu z napisem „Witamy”.

Gdy dziewczyna weszła do pokoju z tapetami w wielkie kwiaty, zdało jej się, że nigdy nie wyjechała. Starsza pani siedziała w wózku — dokładnie tak, jak Anna ją zapamiętała — a stare, czcigodne meble patrzyły na nią tak samo zachęcająco jak dawniej. Poczuli się przez nie jak zdrajczynie. Zegar na ścianie tykał i tykał. Ale czas, ten ulotny, zatrzymał się, odwrócił się na progę. Babcia uśmiechnęła się do Anny.

— No więc jesteś. I pewnie chcesz się napić kawy. Jak ci się wiedzie, Sigrid? — odezwała się do córki.

— Słysząc tu telefon, jak zadzwoni? — spytała tamta. — Przychodzę od Elsy. Lada chwili może urodzić.

Stara kobieta porządnie się rozłościła.

— Co ty wygadujesz! — krzyknęła donośnym głosem. — Elsa jest na dziecięcym przyjęciu. Włożyła czerwoną sukieneczkę.

Wszyscy się uśmiechnęli. Pewnie! Elsa jest na przyjęciu. Co z tego, że było to dwa-dziesięć lat temu? Drzwi przedsiönka znów się otworzyły. Przyszła siedemnastoletnia

Rigmor, inna wnuczka babci. Wpadła do środka i rzuciła się Annie w ramiona. Oczy jej zabłyśły.

— Witamy! — zakrzyknęła. — Ależ mamy święto!

Ucałowała również babcię. Weszła młoda żdzira z dzbankiem kawy. Przesunięto wózek. Teraz wszyscy zasiedli do stołu. Z tortu błyszczał piękny, zielony napis „Witamy”. Annie zakręciła się łza w oku. Spojrzała na każde z nich. Drobną staruszką, której część pozostała w szczęśliwym dzieciństwie. Paul, który patrzył na nią z błyskiem w oku i gładził jej dłoń. Jego matka ze zmartwionym wyrazem twarzy, rozmyślająca nad nieszczęściem Paula i krytycznym momentem w życiu siostry. I Rigmor, która opowiadała o jakimś przyjęciu.

Babcia zaproponowała do tortu wino.

— Bardzo tego potrzebuję — przyznała matka Paula i wychyliła kieliszek.

Anna się nie odzywała. Czy Paul coś zauważy?

Rigmor usiadła w oknie. Jakiś młodzieniec, którego darzyła czułymi uczuciami, obiecał przejść obok o konkretnej godzinie i unieść kapelusz. Może wymknie się stąd na spacer u jego boku. Rumiane policzki odwróciła w stronę szyby. Słyszała ich głosy niczym usypiającą mruczkę. Jej lekkie, radosne myśli wyruszyły już ku przygodzie.

Ale zgromadzeni przy stole rozmawiali w dziwny, szarpany sposób. Paul miał złękioną minę. Anna opowiadała o Ameryce, ale jej wzrok błędził, jakby nie śmiała spojrzeć w czułą twarz Paula. Jego matka widziała, jak zbladł i jak zabłyśły mu oczy, wilgotne od zbliżających się łez. Od czasu do czasu wrzucała jakieś zdanie, żeby podtrzymać rozmowę. Cały czas nasłuchiwała, czy nie dzwoni telefon. „Biedna Elsa”, myślała, rozdarta między strachem o siostrę i o syna. „Na pewno jej ciężko. Że też nowe życie rodzi się w takim bólu! Co poczną z tym maleństwem? Mają już tyle dzieci”.

Ale staruszka, zadowolona, kiwała głową. Wino pięknie zarumieniło jej policzki. Była szczęśliwa pośród szczęśliwych. Z kuchni słychać było, jak młoda żdzira hałasuje przy zmywaniu. W pokoju unosił się lekki i przyjemny zapach kawy. Stara nie słuchała, o czym mówią pozostali. Jej myśli zanurkowały w głąb skarbnicy wspomnień. Czegoś tam szukała — wspomnienie majaczyło, było niewyraźne.

Młoda dziewczyna, która przyszła zerwać zaręczyny, była coraz bardziej zrozpaczona. „Jak się na to zdobędę?”, myślała i odwróciła się, żeby nie widzieć jego jasnej twarzy i zdziwionego spojrzenia. I gdy mówiła, jej myśli zajęte były czym innym. Wyjechała z domu, by odwiedzić rodzinę w Ameryce oraz przyjąć posadę, którą jej załatwili. Póki Paul nie znajdzie lepszej pracy, nie mogli na razie myśleć o ślubie. Nie było jej przez cały rok. Wyjechała tak młodzianka i niedoświadczona. Kochała Paula, nigdy wcześniej nikogo nie kochała. Ten drugi mężczyzna był tak inny od Paula, że aż musiała się uśmiechnąć w całym tym strapieniu. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał szeroki podbródek i śmiałe oczy. Paul był gołębiem, a tamten drapieźnikiem, sokołem. Ujął ją, bo tak bardzo się różnił od ludzi, których wcześniej znała. „Chcę”, mawiał. I dostawał wszystko, czego chciał. Teraz chciał ją i ją też dostanie. Czy na pewno?

Na tę myśl zaczęła współczuć Paulowi. Dlaczego nie był wysokim, silnym mężczyzną? Wyglądał jak chłopiec — wąskie ramiona i niepewny uśmiech. Niewiele w nim siły. Nigdy nie słyszała, by z błyskiem w oku mówił: „Chcę!”. Gdyby tylko mógł tak powiedzieć! Gdyby mógł ją zatrzymać!

W pokoju o wyblakłych tapetach w wielkie kwiaty panował taki spokój, jak gdyby nikt nie wiedział o lękliwych myślach i pytaniach, objających się o cztery ściany. Zegar uderzył kilka razy, po czym wrócił do regularnego tykania.

Wtem babcia uniosła palec w geście rozsądku. Reszta zamilkła. Dotarła na dno skarbnicy pamięci, a niewyraźne, majające wspomnienie przestało dygotać — jawiło się jasne i proste jak świeca.

— Teraz posłuchajcie — odezwała się. — Ty, mój synu, nie musisz słuchać. Ale jak patrzę na twą narzeczoną i jej cudną twarz, muszę jej o tobie opowiedzieć. To ją ucieszy.

— Och, mama znów pomyliła cię z wujkiem Erikiem — wymamrotała mama Paula.

— Nie szkodzi — szepnęła Paul. — Niech opowiada! Tak bardzo to lubi.

— Jesteś za młody, żeby się żenić — powiedziała staruszka. — Jesteś tylko dzieckiem.

Zrobiła zwyczajową pauzę i rozejrzała się, oczekując zwyczajowych protestów; ale nikt nic nie powiedział.

Rodzina

Zdrada

— No, nie mówię „Nie”. Dziewczyna jest piękna, będziecie szczęśliwi.

„Och, jakież to straszne!”, myślała Anna.

— Ale chcę opowiedzieć o pewnym drobiazgu, który pamiętam z twojego dzieciństwa — ciągnęła babcia. — A to upewni Annę, że wybrała dobrego człowieka. Ileż to miałaś wtedy lat? Nie pamiętam. Ale mogę powiedzieć twojej narzeczonej, że śliczny z ciebie był brzdąc. Oczy ci tak błyszczały. Chodziłeś tak leciutko, żeśmy się bali, że nagle otworzysz ramiona i odfruniesz. Słyszę te krocзки. Tup, tup, tup. I ten jasny głosik. Wiem, wiem! Mówicie, że jestem stara i nic nie pamiętam. Ale tylko czekajcie! Dobrze pamiętam. Młodość naśmiewa się ze starych, że nie potrafią już skakać i kicać jak reszta. Za to siedzimy bez ruchu w fotelu. Siedzenie bez ruchu też sprawia radość. Ale tego nie zrozumiecie, póki nie dożyjecie mojego wieku. A mam nadzieję, że dożyjecie. Naprawdę! — dodała z naciskiem, jakby życzyła im czegoś faktycznie dobrego. — No, ale ten mój chłopczek! Nie miał kolegów. Był słabowity i wrażliwy, nie miał siły na hałaśliwe zabawy. Wolał stać z boku i przyglądać się zabawie ze zmarszczonym czołem, jakby się nad czymś zastanawiał. Tak właśnie, jakby się nad czymś zastanawiał. Może nad tym, że się tak różni od innych dzieci i nie pojmuje, dlaczego.

— Ależ ona opowiada o Paulu — szepnęła matka Paula, gdy tamta na chwilę umilkła. — Znow pomieszkała wspomnienia. To na pewno coś, co ja jej kiedyś opowiedziałam.

— Niech opowiada! — rzuciła Anna, wzruszona myślą o samotnym chłopczyku.

— Ale raz zdobył przyjaciela, prawdziwego przyjaciela — ciągnęła starsza pani. — Był to chłopiec, który wcześniej też trzymał się z dala od innych. A to dlatego, że miał nędzne ubranie i ubogi dom. Pozostali go nie cierpieli. Dwaj samotni chłopcy patrzyli na siebie na skraju placu zabaw. Podchodzili coraz bliżej. I wtedy mój syn podał biednemu rękę. Tamten nie wyglądał jakoś przyjemnie. Był blady na twarzy, miał niespokojne, głodne oczy — zupełnie jak bezpański, zdziczały pies. To niepojęte, że mój syn tamtego polubił. Miał serce wrażliwe na wszystkich słabych, może dlatego, że sam był mały i słaby.

Od tej pory ci dwa byli nierozłączni. Wieczorem mój chłopiec chował kanapki. Tamten żarłocznie się nimi opychał. Nie jestem pewna, czy tamtego obchodziła przyjaźń, ale chleb i wędlinę wprost uwielbiał. Och, jak mój mały tamtego podziwiał. To jego wina. Musiał podziwiać i kochać, inaczej by zginął. Tak się wtedy cieszył. „Mam przyjaciela! Mam przyjaciela!”, nucił bez przerwy. No, a potem było tak...

Z tego zapału policzki staruszki zrobiły się czerwone. Najlepiej bawiła się, gdy o czymś opowiadała, a pozostali w milczeniu słuchali. Słowa turlały się jak z oddalonego kącika jej mózgu, czekały, aż podniesie się śluza pamięci. Młoda ździra uśmiechała się w drzwiach. Paul opuścił wzrok, bawił się frędzlami fotela.

Rigmor skinęła głową przez okno. Młodzieniec przeszedł obok i przywitał się, wywijając kapeluszem. Rigmor rozejrzała się po pokoju, lecz nie widziała możliwości wymknienia się. Dlatego potrząsnęła lokami i ściągnęła usta.

— No, a potem było tak — babcia ciągnęła opowieść. — Pewnego dnia dwaj mali przyjaciele poszli do lasu. Był piękny, letni dzień. Ptaki świergotały z gałęzi, las pachniał, w koronach drzew tajemniczo szumiało. Mój chłopiec został w tyle. Kiedy dogonił kolegę, ten trzymał coś w dłoni. Było to puchate, piszczące pisklątko, które wypadło z gniazda. I plask! — ze śmiechem rzucił nim o kamień.

Chłopcy znieruchomieli, jeden w drugiego wbił wzrok. Mój synek drżał i trzął się z przerażenia. Uznał, że przyjaciel całkiem się przeobraził. Nie jest już chłopcem, tylko trollem¹² z oczami, które chcą wyjść z oczodołów jak ostre rogi, a zamiast dłoni ma długie, zakrzywione szpony. Usta zatrzymane w śmiechu były jak paszcza drapieznika. Mój syn uniósł dłoń — małą, chudą, białą dłoń — żeby uderzyć trolla, ale ten uciekł. Wtedy mój mały upadł na kolana przed zmiażdżonym pisklęciem. Cały świat leżał zmiażdżony u jego stóp. Już nigdy nie będzie radości i śmiechu. Dla niego ptaki przestały śpiewać.

Staruszka wzięła głęboki wdech i wygodniej umościła się na siedzeniu. Matka Paula spojrzała z przerażaniem na Annę. „Dlaczego mama teraz o tym opowiada?”, pomyślała. „Anna uzna tylko, że jest dziwny, a to nie pomoże jej uczuciom do niego”. Ale Anna podniosła głowę i gorliwie słuchała, jakby dowiedziała się czegoś nadzwyczajnego.

¹²troll — w mitologii skandynawskiej nieprzyjazna ludzicom istota, zamieszkująca górskie jaskinie. [przypis edytorski]

Starość, Wspomnienia

Dziecko, Dzieciństwo,
Przyjaźń

Dziecko, Okrucieństwo,
Rozpacz

— Nikt nie zrozumie mojego syna tak jak ja — powiedziała babcia, nie wiedząc, o czym myślą pozostali i że opowiada o Paulu. — Jego przyjaźń legła w gruzach. Stracił wiarę w kompana; ten prawie uśmiercił mu serce. Ułożył pisklę na miękkim mchu i gdy nastąpiła noc, wymknął się z domu. Pochował ptaszka, na grobie położył kamyk. A potem, nie uwierzycie, potem sam chciał umrzeć. Taki mały chłopczyk. Tamten go zdradził. Nie był przyjacielem, zamienił się nagle w ohydny trolla. A jego małemu, wiernemu sercu wydało się, że nie da się dłużej żyć. Przez całą noc biegał po lesie. Sądził, tak mi potem mówił, że wbiegnie prosto w śmierć niczym w wielki ogień. Czuł, jak wiatr niesie ukrop z płomieni; biegł w stronę, gdzie według niego znajdował się ogień. Nie potrafił już żyć. Niektóre dzieci takie są. Wiernie i życzliwie wierzą w przyjaźń i miłość. Załamują się, gdy więzi się zerwą.

Czyżby babcia mówiła do narzeczonej Paula, która przyszła z nim zerwać? Nie. Babcia po prostu cieszyła się wspomnieniami. Lecz narzeczona zakryła twarz dłońmi. Wyraźnie widziała tego małego chłopca, który sądzi, że śmierć to płonący ogień; chciał tam wbiec, bo zdradził go przyjaciel. Takie są niektóre dzieci. Tacy też są niektórzy dorośli. Być może ten ogień to także namiętne serce, które nie zniesie zdrady.

Wtem Anna dostrzegła w narzeczonym tego, którym był — lepszy od tamtego, wierny, namiętny, oddany. Dorosły Paul tylko nieznacznie oddalił się od dziecka. Teraz to rozumiała. Cały czas o tym wiedziała, lecz opowieść babci pozwoliła jej się ocknąć. Nigdy nie przestała go kochać! To odkrycie tak ją ucieszyło, że nie mogła już dalej słuchać opowieści o tym, jak chłopczyk dostał gorączki i był bliski śmierci. „To dziś nic nie znaczy”, myślała. „Przecież żyje! Przecież siedzi tu, mały Paul! Nie musisz już wbiegać w płomienie”.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Jakiś pan w jesionce wszedł do środka. Matka Paula wybiegła.

— Jak jej poszło? — zakrzyknęła.

— Urodziła chłopczyka — odparł ten radośnie, bowiem był to mąż Elsy.

Chór pytań, odpowiedzi i wznoszących się salw śmiechu przerwał głos babci.

— Dlaczego Elsa nie wraca? Nie odrobiła jeszcze lekcji.

— Och, babciu — odezwał się Paul. — Dla babci wszyscy jesteście dziećmi, które nie odrobiły lekcji!

— A ja dziś moją odrobiłam — powiedziała znienacka Anna; lekkim krokiem poszła do Paula i nadstawiła czerwone usta do pocałunku.

Niebawem wszyscy się rozeszli, każdy w swoją stronę. Słychać było ich kroki na schodach. Drobną staruszką została w pokoju, gdzie zegar tykał i wybijał godziny. Zasnęła. Zaciśnęła żylastą dłoń, jak gdyby we śnie kurczowo trzymała drobną, miękką rączkę dziecka.

WIECZÓR W GOSPODZIE

Pociąg zatrzymał się z szarpnięciem na niewielkiej stacyjce na południu Francji. Wysiadło parę osób. Na peronie kilka czerwonych latarni zbliżało się do podróżnych, poza tym było całkiem ciemno. Lokomotywa zagwizdała, wagony ruszyły dalej.

— Co za ciemnica! — wykrzyknął zdenerwowany głos kobiety.

Czerwone światełka podeszły teraz do grupki pasażerów.

— Zdarzyło się dziś małe nieszczęście — odezwał się zawiadowca i podniósł latarenkę, by lepiej widzieć. — Zgasło światło elektryczne, na stacji i w całej wiosce. Bardzo nam przykro!

— Typowe francuskie zaniedbanie! — mruknął jeden z mężczyzn po angielsku.

— Pewnie u was w Londynie nic podobnego nie mogłyby się wydarzyć — usłyszano sarkastyczny głos.

Z czerwonymi latarekami na czele towarzystwo ruszyło w stronę budynku stacji. Inspektor był uprzejmy i wymyślał coraz to nowe zwroty, by przeprosić za to przykre zdarzenie. Hotelowy posłaniec i kilku czarnych chłopców przyszło z latarekami, by gościom oświetlić drogę do pobliskiego pensjonatu. Wiele osób tu nocowało. Kilka kilometrów dalej znajdowała się atrakcja turystyczna — osiemnastowieczny zamek, w którym miesz-

Ciemność

kał pewien wybitny poeta. Zatrzymywano się na noc w tym skromnym hoteliku, nad ranem oglądano zamek, po czym pociągiem ruszono dalej.

Za stacją, gdzie jednak w kilku oknach świeciło się, było jeszcze ciemniej. Niedawno padał deszcz, dlatego droga była mokra i śliska. Słyszeli szum fal, rozbijających się o brzeg. To zatoka Morza Śródziemnego. W oddali, po jej drugiej stronie, migotało mnóstwo świateł w miasteczku, do którego pociąg być może już dojechał. W powietrzu unosił się wspaniały zapach mimozy. Niedaleko musiało rosnąć drzewo — być może to wielki ogród — jednak niczego nie było widać. Nikt z towarzystwa nie odzywał się. Jedynie chłopcy na przodzie żartowali i krzyczeli, huśtając świecącymi latarenkami.

Gospodarz wyszedł na schody hotelu.

— Nie ma światła, drodzy państwo — zawołał. — Ale jest ciepło! Zapraszam do środka.

Zaprowadzono podróżnych do sali, gdzie w kominku płonął duży ogień. Zapach żarzących się piniowych szyszek mieszał się z przyjemnym aromatem z kuchni. Na środku pokoju stał nakryty stół. Kilka świec roztaczało niepewny blask. Po ścianach błękały się zleknione cienie. Wyglądały jak ptaki, które szukają otworu, by wylecieć.

Po tym, jak kilka uroczych dziewcząt zaprowadziło gości do ich pokoi, by mogli otrząść się po podróży, wszyscy znów zebraли się w sali na dole. Gospodarz nakrył dla nich przy jednym stole, mądrze wymyśliwszy, że jego goście, choć się nie znają, chętnie zjedzą wspólny posiłek w ten ciemny, nieprzyjemny wieczór.

W blasku świec połyskiwały karafki czerwonego wina. Przed każdym talerzem stało parujące naczynie. Podawano sobie podłużny biały chleb i świeże oliwki.

Gospodarz pocierał dłonie podczas rozmowy. Gorliwie dopytywał, czy wszyscy mają, czego im trzeba. Gestem odprawił kelnera, który cicho niczym cień krążył wokół stołu w poplamionym fraku lub grzebał w kominku. Pan domu serdecznością i śmiechem wkrótce zaraził gości. Był to kolosalnie gruby mężczyzna; czarne oczka wyglądały jakby próbowały wydostać się z czerwonej twarzy. Mówiąc, śmiejąc się, a czasem unosząc naczynie, by zaprezentować jakąś potrawę, z miną kosmopolity przyglądał się towarzystwu, które składało się z pięciu osób.

Przy jednym końcu stołu siedziała para Anglików. Ona była postawną damą o białych, wysoko upiętych włosach i przyjaznej, zarumienionej twarzy. Odpowiadała gospodarzowi po francusku, ale z tak silnym angielskim akcentem, że trudno było ją zrozumieć. Jej małżonek miał pomarszczoną, czerwoną cerę, co nadawało mu sztucznie młodzieńczego wyglądu. Jego błękitne oczy uśmiechały się. Sportowy kostium w kratę luźno trzymał się na kościstych ramionach, jak gdyby jego właściciel wychudł od znojów podróży. Para ta miała typowy sznyt angielskich turystów. Z kieszeni marynarki w kratę wystawał bedeker¹³. Z pewnością zaznaczyli w nim osiemnastowieczny zamek, nazajutrz z samego rana pojedą go zwiedzić i wyrażą zachwyt niezliczonymi okrzykami: „*How lovely! Oh, how interesting!*”¹⁴.

Po szybkiej inspekcji tych dwojga gospodarz przeniósł wzrok na Francuzkę, paryżankę, która usiadła obok Anglika. Ten zdawał się być nieco zakłopotany takim sąsiedztwem; rzucił szybkie „*Pardon!*”¹⁵, gdy przypadkiem ją potrącił. Była niską kobietą w nieokreślonym wieku, mocno umalowaną i upudrowaną. No, ale makijaż i puder należą do toalety każdej Francuzki. To nie umalowana twarz ani purpurowe wargi nadawały jej wyjątkowość, lecz oczy. Rzuciły bystre, przebiegłe spojrzenie. Kiedy mówiła, rozpuszczały się w pochlebstwach i czułości, by w następnej sekundzie zmienić się w uważne i szczwane. Z ramion kobiety zwisało kosztowne futro, a spod niego przebijała zielona suknia z jedwabiu. Każdy jej ruch rozpylał dokoła woń perfum. W płatkach uszu błyszczwały wielkie perły, na dłoniach nosiła drogocenne pierścienie. Żydowski kupiec, siedzący po jej drugiej stronie, ułożył wargi do cichego gwizdu; przyglądał się kobiecie i z rozkoszą wdychał perfumy. W głębi duszy nazwał ją „poszukiwaczką przygód”. Była jedną z tych, które przemierzają kraj wzdłuż i wszerz. Ciągnie je do przygód jak owady do światła. Nie znają spokoju. Oczy szukają wciąż nowych sensacji. Palce bezustannie sięgają po nowe,

Kobieta

¹³bedeker — przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

¹⁴*How lovely! Oh, how interesting!* (ang.) — Jak ślicznie! Och, jakie to ciekawe! [przypis edytorski]

¹⁵*Pardon* (fr.) — Przepraszam. [przypis edytorski]

błyszczące pierścionki. Z pewnością tylko dla kaprysu wysiadła z pociągu akurat tutaj. Zapraǳnęła w słoneczny poranek obudzić się nad morzem. Może urodziła się właśnie w takiej maleńkiej, białej wiosce, gdzie wiosną pachnie mimoza, a Morze Śródziemne obmywa muszelki i kamyki na rozgrzonym piachu.

Żyd nachylił się w jej stronę i jął szeptać uprzejmości. Miał ziemistą cerę i błogie, brązowe oczy. Nazajutrz miał odwiedzić tutejszego biznesmena. Dzięki myśli o nadchodzącym zysku stał się łagodny, a nawet się rozweselił.

Ostatnią osobą w towarzystwie był mężczyzna w średnim wieku o czarnej, szpiczastej bródce i smutnych oczach. Nerwowo gładził się po zaroście. Kolejne dania odsuwał od siebie zniecierpliwiony, za to zapamiętałe pił, jakby gardło zaatakowało mu pragnienie nie do ugaszenia.

Ludzie ci, tak nagle zebrani przy jednym stole, zaczęli teraz rozmawiać. Wino i ciepło ich ożywiło. Angielska matrona, która nigdy nie podejrzewała, że przypadnie do gustu damie takiej jak paryżanka w kosztownym futrze, dyskutowała teraz z tym niezwykłym ptakiem. Anglik i niski Żyd wymieniali opinie na temat francuskiej kuchni.

— Czy ktoś jeszcze się tu zatrzymał? — spytano gospodarza, by oddać mu głos, skoro tak natrętnie się przy nich krzątał.

— Owszem! Godzinę temu przyjechali autem kobieta i mężczyzna — odpowiedział. — Dama była wycieńczona. Pan wziął ją na ręce i wniósł po schodach. Wyglądało to naprawdę uroczo. — Gospodarz puścił porozumiewawcze oko. — Jednak dama, po niewielkim posiłku w pokoju, natychmiast poszła spać. Pewnie jutro zamierzają zwiedzić zamek. Sporo ludzi tu przyjeżdża — ciągnął gospodarz, podając salatek, którą samodzielnie przyrządził. — Zostają na noc, po czym jadą dalej. Mój hotel to tylko przystanek — dodał ze śmiechem.

— Czy w takim miejscu może się coś czasem wydarzyć? — spytała dama w futrze.

— Ależ oczywiście!

Gospodarz zrobił teatralny gest, jakby chciał dodać: „Przy takich damach jak łaskawa pani, zawsze coś się wydarza”.

— Raz nawet dokonano tu morderstwa — powiedział.

— Och, zmiłuj się! — wykrzyknęła wystraszona Angielka.

— Może nie powinienem o tym mówić — rzekł gospodarz. — Ale to było dawno temu, a ponieważ zapytano, czy coś się tu dzieje... To bardzo proszę! Była to młoda żona, która uciekła od męża; ona i kochanek zameldowali się u mnie. Wpisali się w rejestr gości: „Pan ten i ten z żoną”. Zawsze tak piszą. Nie przejąłem się tym, choć faktycznie, jak na małżeństwo, wydawali się zbyt zakochani. Umieć rozpoznać takich po ślubie. Zazwyczaj żona wścieka się na męża, bo ten wziął nieodpowiedni pokój. Psuje jej się humor, gdy on zamówi potrawę, która przypadkiem nie jest jej ulubioną. Wino jest kwaśne lub coś w tym stylu. No, oczywiście nie wszyscy są tacy. Ale tyle już widziałem. A ci ze wszystkiego byli zadowoleni. Żona promieniała z radości. Po posiłku usiedli przy ogniu, rozpałilem wtedy w kominku tak samo jak dzisiaj, a on objął ją w pól, nie krępując się mną, krzątającym się przy stole. Wówczas na zewnątrz zatrzymuje się taksówka. Ktoś wbiega po schodach i wpada do środka. Gdy tylko ujrzałem nowoprzybyłego, zrozumiałem, że to małżonek. No i tak! Zmierzył dwoje zbiegów jednym spojrzeniem, wyciągnął rewolwer i zastrzelił kochanka. Wszystko działo się równie szybko, jak teraz opowiadam.

— Jakie to straszne!

— Bardzo interesujące! — usłyszeli okrzyk ze strony stołu.

Gospodarz chciał jeszcze coś dodać do swej historii, lecz się powstrzymał. Ktoś głośno przesunął krzesło. To mężczyzna z ciemną bródką nagle wstał. Bez słowa przeprosin odszedł od stołu i usiadł przy kominku. Pozostali patrzyli na niego zdziwieni. Francuzka, która właśnie obierała mandarynkę, rzuciła mu zamyślane spojrzenie. Lecz on skierował smutne oczy w stronę ognia.

— No, tak to jest — odezwał się gospodarz, lekko oburzony, że przerwano mu opowieść.

Wkrótce wszyscy skończyli jeść i także usiedli przy ogniu. Kelner posprzątał ze stołu. Gospodarz zapalił przy oknie fajkę. Teraz, gdy wszyscy milczeli, słychać było morze.

Żyd

Małżeństwo, Zdrada,
Kochanek, Zbrodnia

— Ach, przez ten odgłos dopada mnie melancholia! — powiedziała Francuzka, a futro zsunęło jej się z ramienia.

W zielonej sukni, z podwójnych sznurem pereł wokół szyi, wyglądała olśniewająco. Angielka wyciągnęła robótkę i w świetle lampki naftowej, stojącej za jej plecami, zaczęła dziergać. Ponieważ nie widziała dobrze, sięgnęła do obszernego worka, który wisiał na jej ramieniu, wyciągnęła binokle i wsadziła na nos. Siedziała teraz zadomowiona, jak gdyby była we własnym domu w Londynie.

— Każdy z nas powinien coś opowiedzieć — odezwał się żydowski kupiec po tym, jak z lekkim uśmiechem przyjrzał się wszystkim po kolei.

— Historię o duchach! — wykrzyknęła Francuzka, potrząsając perłami.

— Zdaje mi się, że właśnie taką usłyszeliśmy z ust gospodarza — odezwał się nagle ten z bródką.

Wszyscy na niego spojrzeli. Miał przyjemny, niski głos, ale lekko drżący. Być może to przez wino. Podczas posiłku niemało wypił.

— Historie o mężu szukającym zbiegłej żony zawsze mnie przygnębiają — ciągnął. — W tym wypadku znalazł rywala. Ale ilu z nich znajduje?

Francuzka zwróciła się do niego.

— Z pewnością ma pan o czym opowiadać — rzekła. — Przepędźmy jakoś ten mroczny wieczór.

Żydowski kupiec spojrział na Francuzkę siedzącą obok.

— A pani? — powiedział. — Sądzę, że pani ma dla nas fascynującą historię.

Zerknęła na niego ukradkiem i wybuchła śmiechem.

— Gdybym coś opowiedziała, nigdy by pan nie uwierzył — zażartowała.

Angielka podniosła wzrok znad robótki.

— Nie ma nic przyjemniejszego niż słuchanie opowieści przy kominku — rzekła i poprawiła się w fotelu, gotowa na miłą chwilę.

— Ja opowiem, jeśli państwo się zgodzą — odezwał się mężczyzna przy kominku. — Ten wieczór faktycznie zachęca do mówienia. Myśli nadlatują ze wszystkich stron. Nawet morze nuci jakąś dziwną melodię. Przysłuchiwałem się jej przy stole. I ten pokój! Widzieli państwo cienie? Za panią, moja droga — zwrócił się do pięknej Francuzki — znajduje się cień, który wygląda, jakby chciał panią schwytać. Każdy z nas ma za plecami cień — dodał po tym, jak Francuzka spojrzała w tył z cichym okrzykiem. — Każdy z nas ma swój. Brzmi tajemniczo, ale tak jest. Czyż wszystkich nas nie prześladowuje cień, który grozi, że nas pochłonie: jakaś gryząca myśl, wyrzut sumienia, gorzki brak? Każdy dobrze zna imię swojego cichego towarzysza. W taki wieczór, gdy na zewnątrz szumi morze, cienie wychodzą z ukrycia. Chylą się w naszą stronę. Czegoś chcą. Wtedy zaczynamy mówić, by je przegonić.

Podniósł dłoń w stronę ognia. Gdy ostatnie słowa już wybrzmiały, do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Był młody i bardzo przystojny. Zbliżył się do towarzystwa, lekko uklonił się i spytał, czy może się dosiąść. Zrozumieli, że to ten, o którym gospodarz opowiadał, że przyjechał autem. On sam zaraz wyjaśnił:

— Przyjechałem do tej wioski z pogaszonymi światłami kilka godzin temu. Żona odpoczywa, więc zszedłem na dół. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Pozostali mruknęli, że oczywiście nie przeszkadza. Opadł na krzesło, podstawione przez gospodarza. Przez moment zrobiło się głośno, bo każdy przesuwał się, by zrobić miejsce.

— Cienie się niepokoją — ciągnął tamten swoją opowieść i rozejrzał się z uśmiechem po ścianach.

— Zdaje się, że snuł pan jakąś historię — powiedział młodzieniec uprzejmie. — Chyba pana nie powstrzymałem?

— Oczywiście, że nie! Właśnie miałem zacząć.

Gospodarz wrócił z fajką do okna.

— To nie moja historia — podjął gawędziarz. — Usłyszałem ją kilka dni temu od bliskiego przyjaciela. Jest nieszczęśliwym człowiekiem. Nie tak dawno temu jego żona uciekła od niego z innym. A teraz jeździ i ich szuka. Człowiek chciałby wypowiedzieć to ostatnie słowo.

Cień

Smutne oczy w sekundę objęły towarzystwo. Młody mężczyzna pochylił się i zapalił zapalkę. W tym nagłym płomieniu jego policzki były całkiem blade.

— Była wspaniałą kobietą — mówił dalej tamten. — Często ją widywałem podczas odwiedzin w ich domu. Wydaje mi się, że byli szczęśliwi. W każdym razie jego szczęście było niewinne i pełne radości. Zawsze należy mieć podejrzenia. Szczególnie, gdy posiada się coś pięknego! Piękno jest po to, by je skraść.

— A więc twierdzi pan, że małżonek sam ponosi winę za to, że stracił swoją piękną żonę? — spytał młodzieniec, wydmuchując dym z papierosa.

— Jest pan bardzo młody — rzekł tamten spokojnie. — Zastanawiam się, czy pan to faktycznie rozumie.

Ponieważ nie padła odpowiedź, mówił dalej:

— Jednak mój przyjaciel nie znał mężczyzny, z którym uciekła jego żona. Nie znał nawet jego nazwiska. Inaczej nietrudno byłoby ich wytropić. Ale muszę zacząć od początku. Żona mego przyjaciela jesienią i zimą podupadła na zdrowiu, więc lekarz zalecił jej pobyt w górskim kurorcie. Mąż w obawie o jej zdrowie ochoczo przystał na propozycję lekarza. Żona natomiast niechętnie myślała o podróży. Wciąż znajdowała wymówki, by odroczyć wyjazd. Ostatecznie mąż ją namówił. Potem nie potrafił zrozumieć, dlaczego aż tak nalegał. Być może równie szybko wyzdrowiałaby w domu. Został sam. Nie była to jednak pusta i smutna samotność. Zdawało mu się, że ona jest przy nim w każdym zakątku mieszkania. Wchodził na palcach do jej pokoju. Unosił się tam zapach fiołków. Sukienka, której ze sobą nie zabrała, wisiała na oparciu krzesła, przy szezlongu stały jej kapcie. Czuł jej obecność. Miał wrażenie, że słyszy jej lekkie kroki. Późnym wieczorem, gdy czytał w swoim pokoju, nagle unosił głowę i nasłuchiwał. Czy nie nadchodzi? Miała zwyczaj otwierać drzwi, przechodzić przez ciemny salon i zaglądać do niego, by mu życzyć dobrej nocy, a po drodze wołała kilka razy, nieco zabawnym, na wpół złąknionym głosikiem: „Jesteś tam? Jesteś tam?”. Słowa te zaraz go wzruszały. Mieścił się w nich cały jej świat. „Jesteś tam?”, wołała, ponieważ kochała go; chciała się upewnić, że on istnieje. A on zawsze tam był.

Anielka odłożyła robótkę. Uważnie przyjrzała się opowiadającemu. Francuska dama nachyliła się i szepnęła do żydowskiego kupca:

— To on! To żaden przyjaciel, tylko on, rozumie pan?

Żyd pokiwał głową. Młodzieńcowi, który dołączył do nich na końcu, zgasł papieros. Próbował ponownie go zapalić, ale ręce mu drżały. Gwałtownym gestem wrzucił go do ognia.

— Czas mijał. Oczywiście pisali do siebie. On opowiadał jej o swej samotności, o jej sukience, która pocieszała go fiołkowym zapachem, i o maleńkich kapturkach. Pisał także o sobie, o drobiazgach, które mu się przytrafiały. O tym, o czym wiedział, że ją rozbawi. Jej listy przychodziły rzadziej i nie były ani długie, ani szczególnie bogate w treści. Jakby się nudziła. Ale on czytał arkusiki od niej z wielką pasją. One także niosły z sobą delikatny zapach jej ulubionych perfum.

Lecz zaledwie po kilku tygodniach jej listy nagle ożywiły się. Nawet sam charakter pisma stał się zgrabniejszy. Opowiadała, że zaprzyjaźniła się z kobietą, która także przebywała w kurorcie. Udawały się na wspólne wycieczki. Kolejne arkusze wypełniały opisy przyrody, naprawdę piękne. Mój przyjaciel nie mógł się powstrzymać i pokazał mi kilka takich listów. Robiła wrażenie promieniejącej z radości. Odczuwało się pewien rodzaj podnieconej wesołości, która powinna go zastanowić. Lecz on, niczego nie podejrzewając, był zwyczajnie szczęśliwy, że jego najdroższa dobrze się czuje. Dzięki jej listom wkrótce poznał całe miasteczko. Wyobrażał sobie balkon, z którego wieczorami patrzyła na księżyc, wychodzący zza szczytów gór w oddali. Przemierzał leśną ścieżkę pod górę. Przystawał i odwracał się, by zderzyć swój wzrok z widokiem tego urokliwego krajobrazu, rozciągającego się w dole; w wyobraźni zamieniał się w orla, gdy na szczycie napotykał zimny wiatr. Już wszystko to znał, lecz nie potrafił wyobrazić sobie przyjaciółki żony. Nie pisała o niej dużo. Niebawem jedno słówko z jej listów zaczęło go irytować, słówko „my”. Pojawiało się coraz częściej. „Byliśmy na koncercie. My... My”.

„My” to intymne i czułe słowo. Świętym kręgiem otacza dwoje ludzi. Nikt z zewnątrz nie dostanie się do środka. Było mu przykro, że żona używa go w odniesieniu do siebie

i przyjaciółki. Mogła przecież napisać jej imię, Lucie, Suzanne, czy jak tamta się nazywała, ale tego nie zrobiła. Przez te listy zaczął coraz bardziej za nią tęsknić. W końcu postanowił do niej pojechać. Wziął wolne w pracy, lecz w listach słowem nie wspomniał o planowanej podróży. Godzinę przed odjazdem biegał po sklepach w poszukiwaniu jakiegoś upominku. Chciał znaleźć coś pięknego, coś, co naprawdę ją ucieszy. Nie zwykł jednak wybierać niczego bez jej pomocy, był więc oglupiały. Co miał kupić? Kupił parę kapci. Parę kapci, ponieważ kojarzyły mu się z wieczorami, kiedy siedział w jej pokoju i myślał o niej. Kapcie z jedwabiu i łabędziego puchu otoczą jej nagie, piękne stopy... Cieszył się na samą myśl.

Do kurortu dotarł popołudniu. Na zawsze zapamięta ten dzień. W momencie, gdy wysiadł z pociągu i ruszył w stronę hotelu położonego w pobliżu, wiedział, że jej tam nie ma. Droga wydała mu się pusta. Górskie szczyty w oddali dawały mu bezbronne poczucie własnej małości. Był mały. Był sam i marzył. Powinien był wsiąść do hotelowego omnibusu; odmówił, bo chciał się rozejrzeć. A tak naprawdę on, który tak bardzo tęsknił, teraz nagle przeraził się perspektywą dotarcia na miejsce. Doszedł do hotelu. Ona wyjechała. Nie od razu wyjawiał swoje nazwisko. Kiedy potem wpisał je do rejestru gości, sądzili pewnie, że jest jej krewnym. O ile w ogóle o tym pomyśleli. Jest przecież tylu gości.

Kiedy wieczorem samotnie siedział w jadalni, otaczało go morze białych twarzy. Oczy w tych twarzach były bez wyrazu, puste. Nie było jej! Nie było jej! Już żadne oczy nie będą żyły dla niego. Żadne usta się nie uśmiechną. Tej nocy nie spał, mogę was zapewnić. Z balkonu widział księżyc. Może wręcz dostał jej pokój. Widział też blask nad górskimi szczytami, o którym tak pięknie pisała. W świetle księżycy dojrzał ścieżkę w lesie. Pójdzie tamtędy. Wydepcze wszystkie drogi, które ona przez ten czas schodziła. Zobaczy wszystkie widoki, na których kilka dni wcześniej spoczywał jej wzrok. Być może w powietrzu utrzymał się jeszcze zapach fiołków.

Otworzył walizkę. Natychmiast wypadły z niej kapcie. Kokietowały go teraz z podłogi jedwabiem i łabędzim puchem. Chwycił je, po czym odłożył. W nocy kilka razy wstawał, by na nie popatrzeć, jakby czekał, aż ona przyjdzie bosa i wsunie stopy w te piękne pantofelki. Zdawało mu się, że znów słyszy „Jesteś tam?”. Ale jej nie było. Zanudzam państwa? — Gawędziarz zatrzymał się. Jakby nagle uświadomił sobie, że ktoś go słucha.

— Och nie, to bardzo ciekawe — powiedziała pospiesznie Francuzka.

Młody mężczyzna osłaniał dłonią twarz. Kilka razy się podniósł, jakby zamierzał wyjść, lecz jednak został.

— No więc, następnego ranka przyszedł list zwrotny z mieszkania mojego przyjaciela. Musiał nadejść tego dnia, kiedy ten wyjechał. Przeczytał list. Napisała, że kocha innego, że musi uciec. Nie wiedziała, że jej mąż przyjedzie. Przez przypadek wyjechała tego samego dnia. Przyjaciółka nie istniała. Istniał za to przyjaciel.

To tego mężczyzny szukał w kurorcie przez ostatnie dni. Wiedział, że kochanek wyjechał z jego żoną. Mimo to małżonek oczekiwał, że tamten zostawił mu jakiś znak, coś, co wyjaśni to, co się wydarzyło. Byłoby to w jakimś sensie bardziej lojalne.

Dlatego szukał go na ścieżkach i w miejscach, które młoda żona opisywała w listach. Tu szli we dwoje. W tej chatce zrobili przerwę, napili się. Tu na górze siedzieli przytuleni do siebie. Mój przyjaciel próbował wyobrazić sobie tamtego. Z pewnością był młody i romantyczny. Stąd te leśne spacerunki z dala od ludzi! Był też pewnie śmiały. Wspiął się pod górę, balansował na skałach nad przepaścią, podczas gdy ona go podziwiała. Wszystko to tylko preludia, istna dziecinada. Ale dlaczego akurat on zdobył jej serce? Musiało w nim być coś poza młodzieńczą odwagą i romantycznością. Mój przyjaciel sam się zaskoczył, pragnąc wręcz, by było w tym coś jeszcze. Jeśli już ma rywala, chciał, żeby ten był przynajmniej jego godziena.

Pewnego dnia znak mu się objawił. Sam przyszedł do hotelu. Nad ranem, gdy mój przyjaciel wychodził, spotkał w bramie chłopca. Czekał na zewnątrz, nie śmiał wejść do środka. Był to jasnooki chłopaczek w ubogim stroju. „Czy jest tu ten pan?”, wyjąkał. „Który pan?”, padło pytanie. „Ten uprzejmy pan, który zawsze chodził z taką piękną damą!”, odpowiedział chłopiec.

Mój przyjaciel aż podskoczył. Poprosił chłopca o szczegóły. A ten mu opowiedział. Mieszkał z rodzicami w górach. Któregoś wieczora ten uprzejmy pan i piękna pani zawitali w ich chatce. Podczas spaceru zaskoczył ich zmrok, a chodzenie po górach tak

późno bywa niebezpieczne. Łatwo się zgubić. Więc tej nocy zostali w chatce. Radości nie było końca, jak w Wigilię. Cały wieczór uprzejmy pan bawił się z chłopcem i jego rodzeństwem. A pani siedziała obok i się im przyglądała. Przez cały czas tak pięknie się uśmiechała. „Jesteś taki dobry”, mówiła. Chłopiec to zapamiętał, bo mówiąc, pani wyglądała na szczęśliwą. Uprzejmy pan znał wiele zabaw. Kręcił dziećmi, aż piszczwały ze śmiechu; opowiadał im historie, aż mrowiło w nich ze strachu. A przez cały ten czas piękna pani przyglądała się im z rękami na kolanach. W końcu, opowiadał chłopiec, wszyscy razem pościelili uprzejmemu panu i pięknej pani na stryżku. To był najwspanialszy wieczór w życiu chłopca, a teraz mama go tu posłała. Chłopiec wystrugał drobiazg dla uprzejmego pana. Wyjął przedmiot z kieszeni. Dar wdzięczności!

Po odejściu chłopca mój przyjaciel zrozumiał, że to był znak. Wyjaśnienie. Pani to jego żona, wiedział to z taką pewnością, jakby na własne oczy widział ją w tamtej chatce. Zawsze cierpiała, że nie miała dzieci. Czyżby tamten mężczyzna o tym wiedział? Czyżby miłość obdarowała go przenikliwością, pozwalającą przejrzeć jej serce? Tego wieczora pokazał jej przyszłość: mnóstwo małych dzieci i on bawiący się z nimi. Dlatego tak promieniała. Dlatego uległa jego prośbom, by do niego należeć. „Jesteś taki dobry”, mówiła. Choć w głębi serca myślała: „Daj mi dziecko”. Nie sądzę, żeby mój przyjaciel wmawiał to sobie, bo takie spojrzenie na sprawę koło jego dumę. Pomyślał: „To nie mężczyznę kochała, tylko dziecko!”. Być może faktycznie tak było.

— Naprawdę tak pan sądzi? — spytał młody mężczyzna, gdy tamten zamilkł. — Czy pański przyjaciel odnalazł uciekinierów?

— Nie wydaje mi się. Ale wiem, że ich szukał. Jakby nie było, to tylko zazdrosny mąż. I musi ukarać kochankę żony. Być może miał nadzieję, że ją odzyska. To żaden wstyd, zdobyć swą żonę po raz drugi.

W ciszy, która zapanowała, usłyszeli, jak ktoś cichutko schodzi po schodach.

Delikatny głos, na wpół rozbawiony, zawołał:

— Jesteś tam? Jesteś tam?

W towarzystwie zapanował nagle duszący lęk. Kroki zbliżyły się do salonu.

— Jesteś tam? — usłyszeli ponownie.

Wówczas człowiek, który właśnie opowiedział swą historię, wstał i zawołał:

— Tak!

Odwrócił się. Jednocześnie rozległ się głos młodego mężczyzny. On także odpowiedział na gorliwe zawołania. Próg salonu przekroczyła młoda kobieta. Jej ciemne włosy były nieco zmierzwiłone, jakby właśnie się obudziła, lecz oczy jej błyszczały, uśmiechnięte i jasne. Szła po podłodze, aż nagle stanęła, całkiem blada.

— Ty! Ty tu jesteś! — rzekła.

Jej przerażenie było tak widoczne, że Francuzka rzuciła się w jej stronę, jakby chcąc ją ochronić. Mężczyzna zwrócił się do młodzieńca. Uniósł rękę, tamten się cofnął, ale silne ramię trafiło go i powaliło na ziemię. Uderzył głową o kratę przy kominku. Nadbiegł gospodarz.

— Spokojnie! Spokojnie, mój panie! — wołał przerażony i wymachiwał rękami.

— Przecież pan przywykł. Tu się tak wiele wydarza! — wykrzyknął tamten przesmiewczo.

Zrobił kilka kroków w stronę młodej kobiety.

— Moja żona! — rzekł.

Lecz gdy ujrzał ją w objęciach pięknej poszukiwaczki przygód, na jego twarzy pojawił się pogardliwy uśmiech; ruszył w stronę drzwi. Być może dopiero w tej chwili zrozumiał, że stracił ukochaną. Przygoda ją ujęła i teraz będzie ją ze sobą ciągnąć, aż stanie się jedną z tych, które przemierzają kraj wzdłuż i wszerz, wciąż poszukując sensacji i nowych ofiar. Usłyszeli jego z wolna oddalające się kroki.

Po wieczornych zdarzeniach angielskie małżeństwo poszło do pokoju, żona usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy.

— Mam nadzieję, że ten młodzieniec jakoś do siebie doszedł — odezwała się po chwili.

— Tak, tak — odparł mąż rozkojarzony.

Ale ponieważ dobra żona zauważyła, że jej mąż przyglądał się zbiegłej młodej kobiecie z pewnym zaciekawieniem, dodała uszczypliwie:

— Nie jest szczególnie piękna. Mąż opisywał ją jak jakiś cud urody i młodości, a dla kochanka była niczym bogini.

Anglik milczał. Po chwili powiedział:

— Jeden właśnie ją stracił. To, co się straciło, zawsze jest najpiękniejszym, co się miało. Drugi dopiero co ją zdobył; to, co się zdobyło, musi być wspaniałe. Dlaczego inaczej miałyby się do tego dążyć? To naturalne, że w ich oczach jest pięknoscia.

— Mówisz, jakbyś się zaraził ceremonialnością Francuzów — powiedziała żona.

A ponieważ byli gotowi, by położyć się do łóżka, zdmuchnęła świeczkę.

MARKIZAT

I

Ktoś zapukał do drzwi? Mgr lic. Henry Felb, młody, obiecujący historyk sztuki ze Sztokholmu, poruszył się niespokojnie w szerokim francuskim łóżku. Promienie słońca, które wpadały przez zepsutą listewkę okiennicy, tworzyły na pociemniałym od starości suficie mlecznobiałą, drgającą plamę.

Ktoś pukał! Znów zapukał! Licencjat Felb wyskoczył z łóżka. Gdy na bosaka podpretał do drzwi, by je odryglować, miał wrażenie, że w tym przygaszonym świetle wygląda w pasiastej piżamie jak więzień. To Georgette, mała służka, przyniosła tacę z pachnącą filiżanką parującej czekolady. Odstawiła ją na szafkę nocną. Licencjat Felb wrócił do przyjemnego łóżka i teraz patrzył, jak dziewczyna podeszła do okna. Odepchnęła okiennice, aż haczyki zaskrzypiały i odbiły się od ściany, następnie otworzyła drzwi balkonowe; i zaraz do środka wpadł jej radosny, dziecinny głos. Gaworzyła do kur na dole. Te gdały głośno, pośród gwaru kogut podniósł swe triumfujące „kukuryku”. Licencjat Felb przypomniał sobie, że słyszał te odgłosy przed chwilą, jeszcze w półśnie, lecz nie potrafił zrozumieć, skąd dochodzą, zdawało mu się bowiem, że wciąż kołysze się w pociągu z Paryża, a stukot i zgrzyt wagonów dźwięczą mu w uszach. Ktoś zawołał:

— Georgette! Georgette!

Mała szybko wybiegła.

Skrzypiało skrzydło drzwi balkonowych. Światło, odbite od szyby, skakało po pokoju zajmczkami; to bawiło się na wysokim kominku, na którym pasterz i pasterka kłaniali się sobie z gracją, to znów rozbłysło na czerwonym pluszu oparcia kanapy, a w końcu poczołgało się po parkiecie, gdzie szczeliny wytoczyły na podłodze szerokie, czarne pasy.

Licencjat Felb popijał brązową, gęstą czekoladę małymi, pospieszonymi łykami. W chwili, gdy napój zsuwał się po przełyku, po całym ciele rozchodziło się poczucie szczęścia i zadowolenia. Niemożliwe, by tylko brązowy płyn o delikatnym posmaku dymu kuchennego i tłuszczu wywołał to uczucie. To raczej powietrze rozchodzące się po pokoju, widok zielonych gałązek uczepionych poręczy balkonu, a także nadzwyczaj przyjemne wrażenie, że ma się za sobą długą, przespaną noc. W końcu mężczyzna wstał i podszedł do balkonowej poręczy, a widok zachwycił go tak, że przez dłuższą chwilę nawet nie przyszło mu do głowy, iż powinien się ubrać.

Z niewielkiego żwirowego placu, otoczonego żelaznym ogrodzeniem, kilka nierównych, szarych stopni prowadziło do ogrodu — był to staromodny, podupadły ogród, a w nim altanki, łuki winorośli i rabatki pełne kwiatów, zasianych tak, że jeden na drugim wyrosły na zuchwałą, wielobarwną bujność, która groziła wdarciem się na ścieżki i trawniki. Była to feeria świetlistych refleksów, cieni, roztańczonych plamek słońca na alejkach i tysiąca odcieni zieleni: od leciuteńkiej, jedwabistej w źdźbłach trawy po ciemną, błyszczącą na drzewach owocowych i niemal niebieskawą winorośli. Poniżej ogrodu, opadającego ku zakurzonej szosie, zza wysokich topól balsamicznych migotała woda alpejskiego jeziora. Poranna bryza z wolna rozwiwała mgiełkę. Ta uniosła się niczym stado białych ptaków, zostawiając powierzchnię wody błękitną i błyszczącą, przecudnie wielki klejnot, absolutnie godny otaczających go górskich szczytów.

W nagłym uniesieniu licencjat Felb postanowił zostać w tym zachwycającym miejscu. Poprzedniego wieczora równie gwałtownie zdecydował się wrócić do Paryża następnym pociągiem, motywując to tym, że „Markizat” (tak nazywała się ta prosta willa) przy pierwszych oględzinach okazał się mieć niewiele wspólnego z tym, jak entuzjastycznie opisy-

Światło

Natura, Piękno

wał ją *monsieur*¹⁶ Edmond Paturot. *Monsieur* Edmond Paturot był według wszelkiego prawdopodobieństwa, a także według własnych, wielokrotnych zapewnień, szczęśliwym i zamożnym właścicielem „Chateau Les Marquisats” nad słynnym alpejskim jeziorem. Licencjat Henry Felb spotkał go pewnego wieczora w Paryżu w towarzystwie wieloletniego członka kolonii szwedzkiej, dziś nieco zubożałego biznesmena, zajmującego się agenturą i akcjami. Rozmowa zeszała na zbliżające się lato, *monsieur* Paturot opisał przyjemny górski klimat Sabaudii¹⁷, wychwalając przy tym własną posiadłość, która zdała się być starym, historycznym majątkiem. Nagle podekscytowany zawołał do licencjata:

— Proszę mnie odwiedzić! Zamieszkać u mnie w „Markizacie”! Panie będą zachwycone!

Po wielu wahaniach i niezliczonych namowach licencjat Felb postanowił przyjąć zaproszenie. W charakterze uduchowionego krytyka „Dziennika Estetycznego” i wykwalifikowanego docenta szkoły wyższej przyjechał do Francji na kongres, gdzie młodzi szwedzcy historycy sztuki zamierzali zbadać — przez ich udekorowanego profesora nazwane błogosławionymi — skutki bombardowania katedry w Reims¹⁸. Teraz Felb uznał, że przyjemnie będzie się ochłodzić i przejrzeć zgromadzony materiał. Późną nocą, kiedy wracał do domu przez gorączkowe, rozmigotane światłami bulwary w towarzystwie nieco upitego Szweda, próbował dowiedzieć się więcej o swym przyszłym gospodarzu, ale tamten tylko się śmiał i powiedział:

— Pan licencjat spróbuje! Nie znam jego domu. To oryginalny typ, dawniej robiłem z nim interesy. — Po czym znów się roześmiał.

Licencjat Felb pojechał do Sabaudii. To moment, gdy dotarł tam poprzedniego wieczoru, wprawił go w nastrój, który dopiero nad ranem się zarumienił. Już gdy wysiadł z pociągu, zaczął padać deszcz. Jakiś śniady chłopiec, którego po niego wysłano, wskazał na gospodarstwo położone na szczycie długiego, kamienistego wzgórza, dziesięć minut za miastem. Alpy zakrywała szara mgła, na tafli jeziora nie było połysku. Kapalo z drzew po obu stronach ścieżki. W końcu stanął przed wychwalanym „Markizatem” *monsieur* Paturota.

Budowla okazała się masywna, szara i podupadła. Tak bardzo podupadła, że miało się wrażenie, iż wyraźny kąt, pod którym wybudowano kompleks (i który wyglądał na dwa oddzielne domy, ustawione względem siebie w poprzek), był jedynym powodem, dla którego budynek nie zawalił się dawno temu. Podwórko składało się z wielkiej, brunatnej kałuży nieczystości po drobiu i deszczówki, a dziewczyna, która otworzyła drzwi, była tak brudna, tak czarnooka, tak byle jak okutana, jak tylko można wyobrazić sobie dziewczę ze starej, pół włoskiej Sabaudii. Wieczorem nie zdążył zbytnio wyrobić sobie zdania na temat gospodarzy. Wcześniej poszedł do pokoju i zasnął do jednostajnego plusku deszczu o balkon.

A teraz — ten promienisty poranek!

W tej chwili usłyszał na podwórzu kroki i zaraz dojrzał *monsieur* Paturota. W dłoni trzymał miarkę. Przyłożył ją do ściany; mrużąc oczy pod słońce, ewidentnie próbował zmierzyć jakąś odległość. Był chudym, a mimo to w pewien sposób imponującym sześćdziesięcioletkiem — ubrany w krótki, biały płaszcz i ciemne spodnie w paski, mógłby się wydać zwykłym francuskim właścicielem ziemskim, gdyby nie para kapci haftowanych w śliczne, czerwone róże, wielki kwiat puszący się w rozzerwanej butonierce płaszcza i czapka, szara czapeczka kolarska, odwrócona daszkiem na tył tysej głowy. Szczegóły te nadawały jego fizjonomii wyjątkowo dziwaczny charakter. Gdy podniósł twarz, licencjatowi Felbowi zdało się, że jegomość na dole z tymi białymi bokobrodami, krzaczastymi brwiami, orlim nosem i brązowymi, wąziutkimi oczami przypominał przebiegłego, starego fauna, który właśnie wynurzył się z rozczochranej zieleni ogrodu.

Schodząc na dół chwilę później, licencjat Felb natknął się na *madame*¹⁹. Jeszcze nie uczesała się po nocy; owinęła się zielonym, wełnianym swetrem, spod którego wystawała

¹⁶*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

¹⁷*Sabaudia* — historyczna kraina w pld.-wsch. Francji, granicząca ze Szwajcarią i Włochami. [przypis edytorski]

¹⁸*Reims* — miasto i gmina w pln.-wsch. Francji, w regionie administracyjnym Grand Est; znajduje się tu słynna gotycka katedra. [przypis edytorski]

¹⁹*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

biała halka, wijąc się wokół chudych nóg. Licencjat Felb musiał z całych sił przywołać obraz ogrodu i jeziora, by nie wrócił impuls z poprzedniego wieczora. Spojrzał na nią i uprzejmie odpowiedział na pytanie, jak mu się spało. Jej oczy miały jakiś mętny kolor. Nie były ani błękitne, ani brązowe, ani szare, jak to zazwyczaj oczy, tylko właśnie mętne jak nieklarowna woda. A jednak było w nich coś uderzającego. Zdumiony patrzył, jak ta wychudzona postać znika, idąc w górę schodów. Jej mąż wspominał, że ma zaledwie trzydzieści lat. Możliwe! Licencjat Felb spotkał jednak trzydziestolatki o młodszym i szczęśliwszym wyglądzie.

Z wolna przemierzał pokoje na parterze. Idąc tak, miał wrażenie czegoś tajemniczego, które trudno mu było odeprzeć. Być może dlatego, że od dawna nie czuł się tak wolny; nie musiał zerkać na zegarek, by upewnić się, że zdąży na przyjęcie, *déjeuner*²⁰ czy *dîner*²¹ — historyczny kongres na temat katedry w Reims był bowiem wielce wyczerpujący dla młodych Szwedów, i wszyscy oni, gorliwie pilnowani przez udekorowanego profesora, podeszli doń bardzo poważnie. Czy może to coś w tych pomieszczeniach? W zapachu starych mebli, w suszonych kwiatach, za pomocą jedwabnych wstążeczek przymocowanych do haczyków, na których wisiały obrazy, albo stojących w smukłych wazonach? Wszystko było staroświeckie, w brzydki sposób, tu i tam kapka nowszej epoki, ale i to pozostawiało niegustowne ślady. Na stoliku leżało kilka mydełek, jakie widuje się w witrynach niektórych perfumerii: w kształcie tancerki z nogą śmiało uniesioną na chmurkę z zakurzonego tiulu, pulchny, różowy amerek o oczach, jakby grzmiały i topniały, uśmiechnięta gwiazda filmowa... Na jednej ścianie wisiał obraz olejny, przedstawiający las i płonący zachód słońca, ale nie był to pejzaż zachęcający licencjata Felba do głębszej zadumy. Na dole, przy ramie, płótno oderwało się, a pod spodem wystawała biała, naga kobieca łydka. Z badawczą ciekawością eksperta sztuki i bezczelnością turysty licencjat Felb zaczął majstrować palcem przy obrazie. I proszę: las z płonącym zachodem słońca zwinął się jak poranna roleta, a pod spodem ukazał się inny obraz, tak nieprzyzwoity, że dzięki tematowi (choć nie wykonaniu) mógłby stać się prawdziwą ozdobą bezpruderyjnego, tajemniczego gabinetu w muzeum, gdzie licencjat przez jakiś czas obejmował stanowisko intendenta.

— Żartowniś! — zachichotał mgr lic. Henry Felb.

Coś zaszeleściło za jego plecami; stała tam stara matka *madame*, spokojna, uśmiechnięta, z dłońmi złożonymi na fartuszk.

— Ładny jest — skinęła. — *Monsieur* Paturot kupił go we Włoszech.

Po chwili podeszła bliżej i powoli, ostrożnie ściągnęła w dół wierzchni obraz, tak że rama znów przybrała przyzwoity wygląd romantycznego pejzażu. Dłonie staruszki były dość czarne — jakby grzebała w ziemi — ale tak naprawdę miała dystygowaną twarz; coś w jej sposobie poruszania się zdradzało paryżankę.

— Jest pani z Paryża, *madame*? — spytał licencjat Felb.

Madame uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Oczywiście, *monsieur*. Ale wychowałam się na wsi i teraz całe dni spędzam w ogrodzie. Moja córka nie lubi zająć na świeżym powietrzu.

Gdy powiedziała „moja córka”, w jej oczach pojawił się czuły błysk. Razem wyszli z salonu. Na podwórku *monsieur* Paturot wciąż zajęty był pomiarami.

— Planuję wyremontować cały dom — wyjaśnił. — Wszystko!

W głębi duszy licencjat Felb zastanowił się, czy faktycznie tak jest czy też jego gospodarz chciał tylko usprawiedliwić tymczasowy stan domu i posiada pieniądze, by w swoim czasie go dopieścić.

Spacerując nieco później wzdłuż jeziora, licencjat pomyślał, że ma już jasność co do wszystkich członków rodziny i może tę sprawę odłożyć na bok. W ostatnich dniach spotkał tylu ludzi. Teraz marzył, by od nich odpocząć. Wziął ze sobą sporo albumów sztuki. Książki o obrazach sprawiały dużo mniej kłopotów niż same dzieła, jak bardzo sardonicznie²² zaskakujące by się niektóre z nich wydawały — zarówno te malowane, jak i z życia wzięte. Zamierzał czytać, spacerować, pływać i korzystać z tych niespodziewanych letnich wakacji.

²⁰*déjeuner* (fr.) — śniadanie. [przypis edytorski]

²¹*dîner* (fr.) — kolacja albo późny obiad. [przypis edytorski]

²²*sardoniczny* — ironiczny, szyderczy. [przypis edytorski]

II

Nie zanosiło się na to, że da się zrealizować postanowienie licencjata Felba, by trzymać się od gospodarzy w pewnej odległości. Gdy *monsieur* Paturot wsadził mu rękę pod ramię, uśmiechem rozpromienił starą twarz fauna i zaprosił na spacer po ogrodzie, gość nie bardzo mógł odmówić. A gdy *madame* w dziwacznej, czerwonej sukni z jakby kanciastą gracją pochyliła się nad nim i spytała, czy mogłaby mu coś zagrać, nieuprzejmie byłoby powiedzieć „Nie”. I tak, słuchając pianina *madame* i opowieści *monsieur*, licencjat zaczął, nieco bezwiednie, interesować się nimi, aż w końcu został — tak po prostu — wciągnięty do rodziny.

Monsieur Paturot był starym biznesmenem z wieloma bankructwami i niepomysłnymi spekulacjami za sobą. Te jednak nie odebrały mu optymizmu. Akurat teraz miał na tapecie pewien interes, który, jeśli się powiedzie, będzie czymś świetnym, wręcz niesamowitym! Każdego przedpołudnia licencjat widział, jak tamten zapala papierosa, wsadza go między wąskie wargi, po czym — z niedbałą postawą i podkreśloną elegancją urodzonego pana — rusza w kierunku miasteczka. Barwne kaptcie zamieniał wówczas na kanarkowo-żółte buty, biały płaszcz na ciemny, a czapkę na brązowy kapelusz filcowy, co nie zmieniało faktu, że nadal wyróżniał się wśród innych starszych panów. Sprawiał wrażenie człowieka pełnego optymizmu. Oczy błyszczwały pod rondem kapelusza jak u młodego uczniaka, wywijiał przy tym laseczką, którą starał się stawiać w rytm swych bujających myśli.

Po powrocie wyglądał na równie zadowolonego. Przy obiedzie, przy pomocy niezliczonych gestów, rozwijał przed paniami temat przyszłego interesu. Chodziło o sprawdzanie z Niemiec papieru, który teraz, po wojnie, był we Francji drogi, a w Niemczech z pewnością można go dostać bardzo tanio. Przedsiębiorstwo zarabiałoby na francuskich detalistach olbrzymie sumy pieniężne. Zdawało się, że wyrażenie „sumy pieniężne” miało dla *monsieur* Paturota szczególne brzmienie, jakby słyszał w nim srebrne i złote monety, radośnie toczące się jedna za drugą po marmurowej podłodze, a on zbierał je do wielkiego wora. Pojęcie „sumy pieniężne” jest rozciągliwe. Nie da się go ograniczyć. *Monsieur* Paturot też tego nie potrafił. Gdy tak siedział przy stole, kroił mięso albo mieszał sałatkę, suma pieniężna rosła mu między palcami. Jego słowa musiały robić na damach pewne wrażenie, mimo ich podejrzliwości. Nawet młody Szwed, Henry Felb, ze swym licencjatem z historii sztuki i znajomością Francuzów z Balzaca²³, Flauberta²⁴ i France’a²⁵, z oporem poczuł pewien podziw, przynajmniej wobec tego entuzjazmu.

— I wtedy — tak *monsieur* Paturot potrafił zakończyć przemowę, wzruszając przy tym ramionami i wznosząc ręce niczym drżące misy, gotowe na przyjęcie cennych darów — przebudujemy ten zamek. Zimą będziemy mieszkać w Paryżu, a tu uciekać latem dla rekreacji. Paryż, moje panie!

Na samo słowo „Paryż” ich oczy rozbłyskiwały. Czują się jak wygnańcy w tej małej dziurze, gdzie musiały się przenieść z winy zawikłanych interesów *monsieur* Paturota. *Madame*, posiadająca w Paryżu tak wiele zainteresowań, jeśli wierzyć jej matce, i tylu adoratorów, tutaj zubożyła na wszystko. Jedyne, co ją jeszcze obchodziło, to gra na pianinie. Lecz choć jej palce biegały po klawiszach i umiejętnie wykonywała najtrudniejsze utwory, licencjat Felb nie znajdował w tym żadnej przyjemności. Gra była pusta, bezduszna, równie dobrze mogła pochodzić z pozytywki. W ostatnim roku pani przestała się też malować. *Monsieur* Paturot skarżył się na to podczas jednego lunchu. Ona, z pytającą miną, odwróciła się do licencjata Felba. Ostatnio często tak robiła.

— Lubię makijaż i puder — powiedział młody licencjat i w zamyśleniu bawił się widelcem. — Z makijażem piękna kobieta staje się jeszcze piękniejsza, a brzydka pięknieje.

— Nieprawdaż? — wykrzyknął ożywiony *monsieur* Paturot.

Zdążyli dojść do kawy, *monsieur* nalał każdemu likieru o barwie opalu do maleńkich kieliszków, po czym sobie znaczną ilość bezpośrednio do filiżanki. Rozpoczął opowieść

²³Balzac, Honoré de (1799–1850) — francuski powieściopisarz. [przypis edytorski]

²⁴Flaubert, Gustave (1821–1880) — francuski powieściopisarz. [przypis edytorski]

²⁵France, Anatole (1844–1924) — francuski poeta, powieściopisarz i krytyk literacki. [przypis edytorski]

o latach młodości: o Montmartrze²⁶, Montparnassie²⁷, dożynkach w Normandii²⁸, skąd pochodził, a potem znów o Montmartrze i Montparnassie. Oczy mu błyszczały. Bokobrody sterczały z ruchliwego podbródka.

Wszystko tam — od ogrodu i domu po stroje *madame* i maszynę do pisania *monsieur* Paturota, która zaciniała się przy co trzecim słowie — wskazywało na zbliżający się upadek, tak również erotyzm. Tkwił niczym robak w ich zmysłach, lecz nie znajdował innego ujścia niż w sprośnych historiach *monsieur* Paturota i na wpół beznadziejnym znudzeniu, na wpół lubieżnie przyczajonej ciekawości. Bardzo nieswojo było licencjатовi patrzeć na to, jak stara matka z zainteresowaniem przysłuchuje się temu wszystkiemu, z uśmiechem i czymś niewinnie dziecięcym w spojrzeniu. Jednocześnie kiwała głową na znak potwierdzenia i życiowej mądrości — ona sama miała męża „w tym samym typie” co *monsieur* Paturot. Nie robiono także tajemnicy z tego, że *monsieur* przestał dopełniać małżeńskiego obowiązku. Temat stanowił przedmiot wielu żartobliwych aluzji, które nierzadko kończyły się awanturą. Klócili się często. Stłumiony głos *madame* i donośny *monsieur* słyhać było o każdej porze dnia, ba, licencjat nieraz budził się w nocy, słysząc poirytowany ton *madame*, dobiegający z sypialni. Żal rozczarowanej kobiety odbijał się w jej mętnych oczach. Wkrótce to zrozumiał, lecz nie potrafił jej współczuć. Jej mąż był o niebo śmieszniejszy ze swymi genialnymi nadziejami i nieskrywanym egoizmem.

Po lunchu gospodarz wziął go do ogrodu. W jego drżących rękach i rozmigotanych oczach było jakieś podniecenie. Znów rozprawiał o swym wielkim interesie. Negocjowano już z jakimś niemieckim biznesmenem. Transakcja z pewnością się uda, a wtedy *monsieur* Paturot znów będzie bogatym człowiekiem. Przystanął z rękami po bokach i czapką na karku i z pogardą rozejrzał się po ogrodzie.

— Tarasy, *monsieur* — powiedział — tarasy jak w starych, prawdziwych francuskich ogrodach pałacowych. Założę je tutaj, o ile w tej marnej mieścinie są jacyś zdadni robotnicy, albo też posłę po architekta z Paryża i ludzi z Włoch. Wykupię całą okolicę, aż do jeziora. Założę rosarium, a tam, gdzie jest najpiękniejszy widok, powstanie klasyczna kolumnada z białego marmuru. Widzi to pan? — Gwałtownie chwycił licencjata za ramię. — Nic pan nie mówi. Proszę sobie wyobrazić marmurową kolumnadę!

Licencjat Felb trochę się wystraszył na widok twarzy tamtego. Nie był to już stary, cwany biznesmen. Zobaczył zagubione oblicze z idiotycznie wytrzeszczonym spojrzeniem. Kolumnada z białego marmuru miała stać się wspaniałym zadośćuczynieniem za wszystko, co w okresie zapaści finansowej musiał znieść ze strony wściekłych ofiar bankructwa i namolnych wierzycieli. Dzięki niej zamknąłby usta swej irytującej, wiecznie niezadowolonej żonie i upokorzył uszczypliwą teściową. Sam będzie się tamtędy przechadzał niczym bóg, podziwiał okazały ogród i rozmigotaną wodę alpejskiego jeziora. Co z tego, że doktor — Jakżeż on się nazywał, ten doktor, co odmładza? Ach, Steinach — to szkop²⁹. Dokument, który miał wszystko umożliwić, też był od szkopów. Zresztą, aptekarz Coué z Nancy³⁰ to również mężczyzna!

Codziennie w fantazji Paturota pojawiała się coś nowego.

W piękne letnie dni — kiedy obie panie zajmowały się swoimi sprawami, a licencjat Felb, coraz bardziej swobodny, porzucił książki o sztuce, by zająć się wyłącznie urokami przyrody, i wyruszał na długie, samotne wycieczki po jeziorze i górach — stary *monsieur* Paturot siedział w altance, gdzie trzmiiele brzęczały wokół jego łysiny, a oświetlone słońcem liście wina rzucały cienie na ogrodowy stolik, i dalej snuł swoje rozmyślenia. Już skończył z ogrodem. Wiedział dokładnie, jak chce wszystko urządzić. Pozostało jedynie wziąć się do roboty. Czas na zabudowania. Już słyszał, jak tynk odpada podczas prac naprawczych, widział farby mieszane w wiadrach malarzy, łowił uchem dziarskie pogwizdywania i energiczne okrzyki w miarę dobrze opłaconych włoskich robotników: „Ohoj! Ohoj!”. Wszędzie ruch i praca — właśnie tak, jak lubił. Sam natomiast doglądał każdego szczegółu, rozdzielał fachowe rady i wskazówki.

Upadek, Małżeństwo,
Erotyzm, Klótnia

Marzenie

²⁶ *Montmartre* — historyczna dzielnica Paryża. [przypis edytorski]

²⁷ *Montparnasse* — pld.-zach. dzielnica Paryża. [przypis edytorski]

²⁸ *Normandia* — kraina historyczna i region w pln. Francji. [przypis edytorski]

²⁹ *szkop* (pogard.) — Niemiec. [przypis edytorski]

³⁰ *Nancy* — miasto we wsch. Francji, ośrodek administracyjny regionu Lotaryngia. [przypis edytorski]

Patrzył, jak bydlę wspina się po kamienistym wzgórzu. Brzęczały tysiące dzwonek, tworzyły pełną melodię, drgającą w przejrzystym powietrzu.

Na podwórzu zajechał lakierowany na czarno ekwipaż³¹, zaprzęgnięty w dwa konie. Woźnica witał się, wywijając batem. *Madame* i on wsiedli i w przyjemnym rozkołysaniu ruszyli w drogę; *madame* w kapeluszu z Paryża i w pantoflach na obcasie. Innego dnia podjechało nowe, duże auto — największe w całym mieście.

Po takich rozmyślaniach przychodził na posiłki z błyszczącymi oczami, rozmarzony, wręcz uprzejmy, choć nieco ironiczny wobec dam i pełen szacunku wobec szwedzkiego licencjata. Od tak dawna martwił się podupadającym domem i monotonnym życiem. Zgorzkniał przez gderliwość żony, teściowa go nienawidziła. Niemniej nadzieja na bogactwo wzniosła go ponad resztę. Nie dostrzegał już pęknięć w ścianie ani plam wilgoci na suficie, nie przejmował się gadaniem żony, nie raniły go szpilki wbijane przez teściową. Z oddali słyszał bowiem, jak sztabki złota — niczym dźwięczna muzyka — uderzają o siebie. Od lat tęsknił za tą melodią, a teraz była coraz bliżej.

III

Madame zaczęła się malować. Gdy wykształcone pod względem kolorystyki oko licencjata Felba po raz pierwszy dostrzegło jej przemienioną twarz, wyczesane brwi, czerwone, płonące usta i różowe policzki, młodzieniec pomyślał, że ta metamorfoza w jakiś sposób wiąże się z fantazjami jej męża, który jakby zaraził cały dom oszalałym pajacowaniem. Lecz tu się Felb mylił, a myśl świadczyła o sympatycznej bezpretensjonalności z jego strony. *Madame* zaczęła się malować, ponieważ młody Szwed wypowiedział się pozytywnie o makijażu. W Paryżu ciągle się malowała — jak wszystkie jej przyjaciółki. Nie byłaby damą, gdyby w maleńkiej torebce nie nosiła szminki i pudru, a po filiżance kawy w restauracji lub w przerwie w teatrze nie wyciągała lusterka i nie malowała ust; ta słodkawa, pachnąca czerwień, która pozostawiała na wargach pikantny smak i odmładzała ją o kilka lat.

Teraz przypominała sobie wiele wyrafinowanych sztuczek z paryskich czasów. Poczernione rzęsy powiększały oczy i je rozpromieniały, gdy pociągnęła wąską kreskę z kącików, stawały się owalne w tajemniczy i interesująco uroczy sposób. Róż na policzkach zaokrąglał je do perwersyjnie dziecięcej formy, a z upudrowanego czoła znikwały wszystkie zmarszczki i linie, robiąc z kobiety uwodzicielską madonnę, wystudiowaną słodycz i kokieteryjną dziewicę.

Jej matka była zachwycona. Nazywała córkę swą „różą” i „skarbem”, zdobiła ją kwiatami niczym pannę młodą, rzucała jej promienne spojrzenia. Natomiast mąż prawie nie dostrzegł zmiany, był zajęty papierkową robotą; a licencjat Felb, dla którego tak naprawdę powstała ta umalowana wspaniałość, zastanawiał się, czy wcześniej, bez tych krzykliwych kolorów, nie była jednak mniej straszna.

Zarówno dla *madame*, jak i dla jej męża, nastał tego lata nowy czas. Ich nadzieje i pragnienia, o tak różnych przyczynach i orientacjach, miały tyle wspólnego, że wykiełkowały z myśli wyczerpanych gorzką marnością zniszczonego życia i utraconego majątku. I podczas gdy monsieur na nowo tworzył stary dom i zaniedbany ogród, w przypadku *madame* próby ożywienia kierowały się do jej wnętrza, do czegoś zwiędłego i pękniętego, co teraz, w pełni lata, zaczęło puchnąć od soków i domagać się kwitnienia. Kwiaty te wyłoniły się pewnego upalnego popołudnia przed zdumionymi i przerażonymi oczami licencjata — i zaraz zwiędły, gdyż nie znalazły uwagi i czułości.

Było to duszne popołudnie, powietrze stało w miejscu. Burzowe chmury, które przez cały dzień wylaniały się zza gór i rozwiewały, teraz zgromadziły się w groźną, zbitą masę, z której raz po raz wystrzeliwał piorun i odbijał swój zygzak w tafli niespokojnego jeziora.

Licencjat wyglądał przez okno w salonie na ogród. Ten zatapiał się w dziwnym, żółtym świetle. Zdawało się, że drzewa i trawa drżały od powiewu wiatru znad wody, poza tym było spokojnie i nieruchomo. Z okna licencjat dojrzał gospodarza, który w kapciach w różyczki krążył po alejkach, zanurzony w zwyczajowych marzeniach.

Madame grała Chopina³². Mgr lic. Felb przeniósł wzrok z ogrodu na chudą figurę przy fortepianie, a *madame*, jakby czując to spojrzenie, nagle przerwała grę i usiadła nie-

³¹ *ekwipaż* (daw.) — lekki pojazd konny. [przypis edytorski]

³² *Chopin, Fryderyk* (1810–1849) — polski kompozytor i pianista. [przypis edytorski]

ruchomo z dłońmi na klawiaturze. Zagryzła wargi, gorące i suche. O tej chwili, kiedy jest z nim zupełnie sama, marzyła co noc; przekręcała się w wielkim łożu, unoszącym się od donośnego chrapania męża. Marzyła o tym, by długa susza jej młodości wreszcie się zakończyła. Ten młody człowiek był dla niej tak uprzejmy. Taki dobry! Żartował i się śmiał. Słuchał, jak gra. I gdy tak siedziała z niejako martwymi dłońmi na czarnych i białych klawiszach, przez myśli przebiegały jej śmiałe przygody. Czytała o takich przygodach w książkach z wyselekcjonowanej biblioteki *monsieur* Paturota. Przewracała karty powieści z płonącym wstydem — nie z powodu pikantnych i śmiałych opisów w kolejnych soczystych rozdziałach, ale z poczucia pustki we własnym życiu.

Wzdrygnęła się, gdy usłyszała, że Felb podchodzi do fortepianu.

— Dlaczego przestała pani grać? — spytał licencjat życzliwie. Nachylił się nad zeszytem z nutami.

Nie odpowiedziała. Zdziwiony jej milczeniem, spojrział na nią. I tak jak zdziwił się pierwszego dnia, gdy dłużej przy obrazie z pejzażem i odkrył pod spodem inny, tak teraz zaskoczył go wyraz twarzy *madame*. Zniknęła zwykła, obojętna mina, na pomalowanych ciemną czerwinią ustach pojawił się uśmiech, którego nie rozumiał, póki nie podniosła do niego twarzy.

Spod przymrużonych powiek wyslizgnęło się w jego kierunku spojrzenie. Ruchy nieprzywykłych do uśmiechu warg uwierały, usta rozchyliły się, jak gdyby chciały łakomie go ugryźć.

Zdezorientowany Felb chwycił się za czoło.

— Gorąco jest — powiedział.

— Tak, gorąco — szepnęła; zabrzmiało to jak jęknięcie. — Jest bardzo gorąco.

Dłonie, przed chwilą jakby martwe, poruszyły się. Powoli uniosły się do góry. Licencjat nie mógł się wycofać. Zafascynowany, gapił się na uśmiechniętą twarz i unoszące się ku niemu dłonie. Nagle chwyciły go za kark; poczuł, jak kobieta, dysząc, zbliża się do niego. Wyrwał się i rzucił do drzwi. Przez okno wpadł gwałtowny powiew wiatru, firanki zatrzepotały niczym wielkie skrzydła. Zaraz potem zaczęła się burza. I gdy deszcz padał na spragnione rośliny ogrodu, *madame* nadal nieruchomo siedziała przy fortepianie z suchymi, płonącymi wargami.

IV

Co rano licencjat widział, jak zgarbiona kobieta niesie przed podwórze ciężkie kanki³³ z mlekiem. Była to matka Georgette. Rodzina mieszkała w wałacej się norze, naprzeciwko ogrodu *monsieur* Paturota. Roilo się tam od dzieci — brudnych, czarnookich. Czasem gapiły się przez płot na rozgdakane kury. Mąż pomagał przy pracach na zewnątrz — piękny młody człowiek o długich czarnych wąsach. Kobieta była w zaawansowanej ciąży. Jej chuda twarz miała wyraz cierpienia i niezadowolenia, cienkie włosy opadały kosmykami na czoło. Tuż po trzydziestce wyglądała na starą i wyniszczoną.

Pewnego dnia dziecko się urodziło i od razu umarło. To wtedy zaczęły się niepowodzenia państwa Paturotów. Nie chodzi o to, że jakkolwiek mieliby oplakiwać śmierć maleństwa. Nie mieli w sobie krzty współczucia, ale okoliczni mieszkańcy mówili, że matka musiała harować u Paturotów, bo skąpstwo powstrzymało ich przed zatrudnieniem kogoś innego, przez co zmiotła kobieta przeforsowała się, a dziecko było za słabe, by utrzymać się przy życiu. Brudna twarzyczka Georgette była teraz często zalana łzami, usługiwała z naburmuszoną miną, która nie pasowała do jej dziecięcego wyglądu.

Noworodka pochowano w deszczową niedzielę. Rodzina Paturotów patrzyła zza firanek, jak tamci niosą po wzgórzu białą trumienkę. Świeciła w szarym świetle dnia, na pokrywie położono niezgrabny krzyż upleciony z kwiatów. W ponurym widoku białej trumienki, niesionej ostrożnie w szorstkich dłoniach, było coś przygnębiającego. Gdy chwilę później *monsieur* Paturot zszedł do furtki, potknął się o coś. Był to wielki bukiet ogrodowych kwiatów, który *madame* zebrała nad ranem i podarowała biednej rodzinie.

Georgette przestała sprzątać i usługiwać. Nikt nie zajmował się obejściem. Nikt nie dbał o kury. Wszystkich ludzi związanych z domem opanowała wrogość. Chociaż piekarz przynosił jak zwykle chleb, a wóz rzeźnika regularnie przystawał pod drzwiami, zarówno

Dziecko, Śmierć, Pogrzeb

Upadek

³³kanka — naczynie blaszane do przechowywania płynów. [przypis edytorski]

piekarz jak i rzeźnik stali się niezyczliwi; żądali gotówki, a odchodząc, uśmiechali się z pogardą.

Matka *madame* musiała doić krowy. *Madame* zawiązała fartuch i ze zgnębiłą miną samodzielnie karmiła kury. Lecz nad rosnącym niezadowoleniem i zaniedbaną oborą *monsieur* Paturot nadal budował swój pałac. Ten jakby unosił się wśród obłoków nad jego głową. Często niewydojona krowa (teściowej nie starczało czasu) i nieustannie głodne kury (*madame* tylko z rzadka wiązała fartuch) bezradnie zerkały ku niebu, jak gdyby i one miały widzenie i stamtąd oczekiwały wsparcia.

I tak pewnego dnia pałac runął z nieba na błotniste podwórko, a jego świetliste odłamki zakopały się w brudzie i zniknęły.

Monsieur Paturot wrócił z miasta. Wyglądał na zagubionego. Zataczał się na drodze, a laseczka, zazwyczaj radośnie kręcona w powietrzu, smętnie zwisała z ramienia. Gdy Henry Felb dostrzegł twarz gospodarza, natychmiast zrozumiał, że coś się stało.

Na podwórzu *monsieur* Paturota otoczyły panie, które szybciotko wyszły przed dom, a on mówił ze wzrokiem rozbieranym po ścianach, jakby z przyzwyczajenia zdejmował miary swego przysłego pałacu. Spekulacje się nie powiodły. Uprzedzili go inni biznesmeni, mieli ten sam pomysł i już zaczęli działać. Toczące się złote monety pędziły w inną stronę, daleko poza zasięgiem ręki *monsieur* Paturota.

Nagle się rozplakał. Patrzył to na teściową, to na żonę, lecz nie znalazłszy w ich twarzach współczucia, na wiotkich nogach poszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

V

Kilka dni później mgr lic. Henry Felb wrócił do Paryża.

Bez większej nostalgii pożegnał się z paniami. W ogrodzie trafił na *monsieur* Paturota. Ten siedział na zmurszałej ławce, w miejscu, gdzie kiedyś w wyobraźni budował kolumnadę z białego marmuru. Wielki kasztan rzucał cień na ziemię. Z rozczapierzonych, zielonych palców liści larwy i robaczki spadały na szarą czapkę *monsieur* Paturota. Z melancholią zerkał w stronę jasnego jeziora.

Mgr lic. Felb usiadł bez słowa obok. Z drogi dobiegł samotny dzwonek krowy. Nie była to rozśpiewana melodia tysiąca dzwonek, o jakiej marzył gospodarz. Od strony budynków słyszeli, jak *madame* nawołuje kury.

— Jestem zgubiony — odezwał się ponuro *monsieur* Paturot.

— Może następnym razem, może pojawi się inna okazja — licencjat Felb pocieszał go bez przekonania.

Gospodarz wdrygnął się i ożywiony odwrócił w jego stronę.

— Tak pan mówi? — wykrzyknął. — Tak pan sądzi? Właśnie o tym rozmyślałem! Czemu nie? Innym razem! Kto wie? Szczęście nie może ciągle wymykać się z rąk.

Licencjat Felb ze złkniętym podziwem spojrział w te brązowe oczy. Tamten się wyprostował. Czapka już ściągnięta na kark. Bokobrody wystrzelił w powietrze. I gdy młody historyk sztuki ze Szwecji nieśmiało się żegnał, oczami wyobraźni widział już, jak klasyczne, białe kolumnady wznoszą się wokół szczupłej francuskiej figury *monsieur* Paturota ku błękitnemu, letniemu niebu południa.

Przy furtce natknął się na małą, brudną Georgette.

— Proszę — powiedział przyjaźnie, wtykając banknot w jej ciemną rączkę.

Wydała z siebie okrzyk zachwyty; zanim Felb się zorientował, rzuciła mu się na szyję i ciepłą twarzyczkę przycisnęła do jego policzka.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że *madame* stoi na podwórzu w czerwonej sukni i się im przygląda przez żelazne kraty ogrodzenia. Czuł na sobie jej spojrzenie, gdy schodził po kamienistym wzgórzu — aż do zakrętu drogi prowadzącej do stacji.

MORDERSTWO

Jestem kobietą. Starą. Do tego jestem siwą, a moje oczy mają zmartwione spojrzenie. Siedzę w pokoju, nieruchoma i milcząca. Mam życie, ale co to za życie. Dłonie beczynnie leżą na podolku. Zawsze jestem w tym pokoju. Nie wychodzę. Ledwo się ruszam. W pewnym sensie pokój jest osobliwy. Ściany szare jak ja. Czarna boazeria. Oczywiście są tu jakieś meble. Zniszczone, obicia wytarte. Mam też piec kaflowy, w którym często

Kobieta, Starość,
Samotność

pali się ogień. Czasem wazonie stoją kwiaty. Białe kwiaty. O zmierzchu nasila się ich zapach. Wtedy serce zaczyna bić tak, że aż boli.

Poza tym o zmierzchu słyszę głosy i kroki ludzi przechodzących ulicą. Brzmia jak z oddali.

Ktoś się chyba mną zajmuje. Wiem, że tak jest. To stary człowiek. Ale jest niepodobny do mnie. Czasem krząta się po kuchni. Gotuje dla mnie, rozpala ogień, ścieli mi łóżko. Jest niczym mechanizm zegara. Może to zresztą ja. Tak, ten zegar to ja. Lubię sobie wyobrażać, że siedzę w pokoju, w bezruchu, milcząca, i że faktycznie ktoś się mną zajmuje. Ale jestem sama.

Wszyscy inni kogoś mają. Ja nie mam nikogo. Czy jestem takim potworem, że nikt nie chce ze mną być? Może. Czy popełniłam przestępstwo? Niewykluczone. A więc tak. Jest jak jest.

Czasem myślę, że nie żyję. Trafiłam do królestwa, gdzie „jest mieszkań wiele”. Mnie przypadł ten pokój i kuchnia. A pode mną, daleko, słyszę, jak życie, pełne żywych ludzi, szumi dalej. Dzieli mnie od nich cienka ściana. Lecz nie potrafię jej rozbić. Ręce mam zbyt słabe — jak ręce ducha.

Gdybym tylko miała z kim rozmawiać. Mówiłabym o sobie. Tylko o sobie myślę. Czyżbym miała życie tak nadzwyczajne, że wciąż muszę się zajmować własnymi wspomnieniami? Tak uważam, było nadzwyczajne. Niepodobne do innych. W końcu należało do mnie. Byłam kilkoma osobami — nie tylko jedną. Najpierw dzieckiem, niewinnym i radosnym. Dalej młodą, piękną dziewczyną. Dojrzałą kobietą. No i tą starą, siwą. Cały świat. Wielość postaci. Ale czyhając na nie wszystkie, niczym kot na swą zdobycz, siedziała stara, siwa kobieta. A teraz to ona — ja — je wszystkie pożarła. Zatem siedzę w pokoju, milcząca, i je przeżuwam. Przez to mam w ustach gorzki smak. Lecz jestem na to skazana.

Gdy zegar rozpalil już ogień, pościelił łóżko, poprawił białe kwiaty, zasiadam nieruchomo i patrzę przed siebie. Czasem mam ochotę zabić człowieka, który dalej wykonuje te wszystkie nieuniknione czynności. Zrobiłoby się cicho. Jak gdy zatrzymuje się zegar. Cudowna cisza. No, ale byłoby to zbiorowe morderstwo. Tylko pomyśleć. Umarłoby radosne dziecko, piękna młoda dziewczyna, dojrzała kobieta, a na końcu siwa staruszka. A ja mam tylko dwie słabe ręce.

Jestem nieco dziwaczna. Inaczej podobne myśli nie przychodziłyby mi do głowy.

Powiem, jak jest. Kilka dni temu faktycznie wyszłam za drzwi. Nawet kogoś odwiedziłam. To dlatego myśli tak płaczą się po głowie. Od dawna planowałam tę wizytę. W końcu nogi same ruszyły przed siebie.

Zobaczyłam w gazecie nekrolog, a więc jest wdową. Musi być teraz równie samotna jak ja. Nareszcie. Poszłam do niej. Nie myślałam o tym, który umarł, ale o niej. Byłam jego ukochaną. Nie ta ja, którą jestem teraz, ale tamta młoda dziewczyna była jego ukochaną. W lustrze nie widzę po niej śladu. Ale była piękna i młoda. Potrafiła rozbudzić miłość. To dar należący do młodości.

On i jego żona bywali w tamtych czasach w domu moich rodziców. Nigdy jej nie lubiłam. Była wyniosła. Poza tym ja byłam o kilka lat młodsza. On się zakochał we mnie. Taka byłam. Miał ją, ale kochał mnie. To największe wspomnienie mojego życia. Wokół niego krążyły wszystkie inne myśli, aż do teraz. Ale chwileczkę.

Przez wiele lat żyłam skrywaną miłością. Prowadziłam podwójne życie. Jedno jako młoda, grzeczna dziewczyna, która ku utrapieniu rodziców nie chce wyjść za mąż, a drugie — życie z nim. Byłam jego kochanką. Mieliśmy kryjówkę, gdzie nikt nie mógł nas znaleźć; prowadziły do niej zamknięte drzwi, a otworzyć je mogły tylko nasze klucze. Wchodziło się do środka, jak wchodzi się w jego ramiona. Otaczały mnie, ukrywały wewnątrz niczym kielich kwiatu. Płonąca, czerwona róża. Zapominałam o świecie na zewnątrz. Byłam z nim sama.

Niebawem zaczął przychodzić do mnie ze swymi zmartwieniami, ze wszystkim, co mu ciążyło. Opowiadał mi o niej, o żonie. Mężczyźni są jak duże dzieci. Niczego nie mogą zachować dla siebie. Twierdzą, że to kobiety są takie wylewne. Ale my tylko udajemy. Nie wyjawiamy tajemnic jak oni. Dzięki niemu dobrze poznałam tamtą kobietę. Bawiło mnie to. Była dla mnie ostrzeżeniem. Przez to, co mi opowiadał, nauczyłam się, co go irytuje albo nudzi. Drobiazgi. Nie głaskać, gdy jest zmęczony. Słuchać, gdy mówi. Nie zostawiać

Zdrada, Kochanek, Miłość

Mężczyzna, Kobieta

otwartych drzwi. Nie używać jaskrawych kolorów ani pewnych duszących perfum. Nie nucić i nie bębnić palcami o stół. Nie... Ach, ileż błędów popełniła tamta kobieta. Czasem miałam ochotę pójść tam i z nią porozmawiać.

To ja powinnam być jego żoną. Ale nigdy nie mówił o tym, że chce się rozwieść. A mnie duma nie pozwalała o to prosić. Więc niebawem zaczął się ode mnie oddalać. Wydało mi się, że nagle się postarzałam. Posiwałam. Tak oczywiście nie było. A jednak coś zwiędło. Zabrano jakiś kawałek mnie. Zostałam sama.

Święta i dumna samotność! Nie, bycie samotną to tylko przekleństwo. Ściany zamykają się wokół człowieka niczym w więzieniu. Robi się cicho. Tylko wspomnienia tuptają dookoła jak szczury. Gryzą i chrupią.

Poszłam do niej, do wdowy. Wystarczająco długo trzymałam w sobie tę tajemnicę. Niech i ona się o wszystkim dowie. Byłam jego żoną bardziej niż ona. Czyż nie? To mnie kochał. Chciałam o tym powiedzieć. Chciałam triumfować. Minęło wiele lat, od kiedy ostatnio ją widziałam. Głupia byłam, dzwoniąc do jej drzwi; myślałam, że otworzy mi młoda kobieta. W moich myślach pozostała młoda, jak wtedy, gdy była moją rywalką, a ja go jej zabrałam.

Na drzwiach było jego nazwisko. Całe imię i nazwisko. Schyliłam się do metalowej tabliczki i czytałam powoli, z bliska. Czy mam już słabe.

Otworzyła stara dama. Miała szare włosy i cerę. W oczach smutek. Tak jak w oczach niektórych zwierząt. Ubrana była na czarno. Wszłam do środka. Spytałam o jego żonę. To była ona. Pomyślałam, że to okropne. Przedstawiłam się. Wiedziała, kim jestem, ale sądzę, że i ona nie od razu mnie poznała. Ze szczerą życzliwością zaprosiła mnie dalej.

I tak siedziałam w pokoju pełnym zwiędniętych bukietów, powitykanych w wazonach. Czerwone róże, które nawet teraz zachowały zapach. Opadnięte goździki i tulipany. To pewnie po pogrzebie.

Usiadła naprzeciwko mnie przy niewielkim stoliku. Dwie drobne, siwe babcie. Tylko dwie drobne babcie pośród morza zwiędłych kwiatów.

— No więc umarł — powiedziała z westchnieniem.

— To dlatego przyszedłam — odparłam. — W końcu byliśmy wszyscy dobrymi przyjaciółmi.

Więcej nie mogłam z siebie wydusić. Poszłam tam z postanowieniem, że będę triumfować nad żoną mojego kochanka — i oto ona. Lecz przecież nie da się triumfować nad drobną staruszką o smutnych oczach.

Rozmawialiśmy o blahostkach. Róże pachniały. Dłonie miała blade — jak ja.

„Nie wiesz tego”, myślałam. „To mnie kochał. Mnie, tylko mnie. Mieliśmy tajemne miejsce schadzki i drzwi, do których pasowały tylko nasze klucze. Ale oszczędzę cię. Wyglądasz na zmęczoną i starą. Zachowam swą tajemnicę”.

Na stoliku między nami stała jego fotografia. Spojrzałam na nią. Kobieta wzięła do ręki zdjęcie, przeciągnęła po nim palcem, jakby chcąc zetrzeć kurz. Podniosła na mnie oczy i lekko się uśmiechnęła.

— A więc oboje mnie oszukaliście — powiedziała.

Nie zabrzmiało to ani patetycznie, ani smutno. Powiedziała to tak, jak mówi się: „Jaką piękną mamy dziś pogodę”. A gdy zaskoczona popatrzyłam na nią, mówiła dalej:

— Ach, nie sądziłaś, że wiem? Przecież tak dobrze go znałaś. Powiedział mi o tym. Nie wtedy, rzecz jasna, ale potem, gdy do mnie wrócił. Załował. Ze wszystkiego się wspowiadał. Wrócił bardziej wrażliwy i uważny.

Zamknęłam oczy. Poczułam się osłabiona, wręcz bliska omdlenia. Poczułam się tak, jak tego dnia, gdy go straciłam. Teraz straciłam go po raz drugi. Moja tajemnica okazała się nie być moją. Jego żona wiedziała o niej od wielu lat. Rozmawiał z nią o mnie, jak kiedyś ze mną rozmawiał o niej. Odślonięto mnie przed nią. Co mogłam zrobić nie tak, żeby potem w żartach przekazał to żonie? Nie od razu. Dopóki mnie kochał, oszczędził mnie. Lecz gdy przestał mnie kochać, stałam się własnością obojga.

To okrutne. Diabelskie. Wzdrygnęłam się, by powrócić do moich samotnych komnat. Do wspomnień, które mnie pilnowały. Tajemnica, która nie była żadną tajemnicą, wypełniała mi życie.

Spotkałam jej wzrok.

— Teraz cię poznaję — odezwała się ona. — Mówił mi o tym, jak zamykałaś oczy, gdy robiło ci się smutno. Drażniło go to. To dziwne. Człowiek tak mało o sobie wie. Jak często kochanek jest tobą zmęczony. Nie zauważa się tego. Czy kiedykolwiek rozmawiał z tobą o mnie?

W tej chwili nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu, chociaż kąciki ust zaswędziały jak rany, gdy się odezwałam.

— Znałaś go przecież — powiedziałam tak, żeby ją zranić, jak ona właśnie mnie zraniła. — Nie potrafił dochować tajemnic.

I tak siedziałyśmy — dwie drobne, siwe staruszki z jego portretem pośrodku.

Chciałam jej opowiedzieć, jak ze mną o niej rozmawiał o swojej żonie. Jak ją obnażał, wściekał się na nią, jak mało w gruncie rzeczy ją kochał. Ale tego nie zrobiłam, wystraszyłam się. Oddałaby mi to, co jej powiedział o mnie, co do słowa. Nie oszczędziłaby mnie. Czy można odebrać człowiekowi nawet jedyną rzecz, która wydaje się naprawdę własna — wspomnienia?

Poczułam nagle pustkę. Byłam wycieńczona. Znów zamknęłabym oczy, gdybym w tym momencie nie przypomniała sobie, że go to denerwowało. Mam taki nawyk. Teraz to rozumiem. Irytowałam go. I powiedział jej o tym. Tak samo, jak wcześniej opowiedział o wszystkim, co go w niej drażniło. Mężczyźni to dzieci. Fałszywe, okrutne dzieci.

Wróciłyśmy do rozmowy. Nie o tym.

O innych sprawach. Nie pamiętam. W myślach wycofałam się do moich samotnych pomieszczeń. Widziałam tę krzątającą się, wiecznie zajętą postać, zegar, jak wchodzi i wychodzi. Tik tak. W kuchni miesza w garnkach. W sypialni ścieli łóżko, rozpala ogień. Tik tak. Niby wścibska, a jednak poruszała się cichutko. To ja porządkowałam dla siebie. Rok po roku. A mechanizmem wprawiającym ten zegar w ruch była pamięć, wielka czerwona pamięć, która pod wieczór, gdy zapach kwiatów wypełniał pokój, rozkwitała i wonią prześcigała bukiet. Teraz pamięć wędla, jak jedna z czerwonych róż w tamtym wazonie. A potem?

Do pokoju wszedł młodzieniec i uprzejmie się uklonił. Był to jego syn. Jego i jej. Podobny do ojca. Początkowo pomyślałam, że to on.

„Niech teraz wybiera”, pomyślałam głupio. Zapomniałam, że przecież to nie mój ukochany, że przecież nie żyje, a my, tu siedzące, to dwie siwe babcie.

Młodzieniec otoczył kobietę naprzeciwko czułym i ufnym ramieniem.

Wstając z fotela, niechcący potrąciłam portret na stoliku. Spadł na podłogę, a ramka rozpadła się na kawałki.

— Tak mi przykro — przeprosiłam.

Wdowa się uśmiechnęła. Wiedziała, że muszę coś zniszczyć, choćby ramkę od jego portretu. To też jedyna szkoda, jaką wyrządziłam.

Wracałam do domu ulicą, którą przed laty często chodziłam. Mieścił się tam dom, w którym kryliśmy się z naszą miłością. Nie, już go nie było. Rozebrali go. Był za stary. Teraz stała tam tylko samotna ściana z kolorową tapetą i zniszczonym piecem kaflowym. Jutro upadnie pod kilofami robotników. Do środka, tam, gdzie dawniej nie sięgały żadne nieproszone spojrzenia, teraz mógł zajrzeć każdy obojętny przechodzień. Przyspieszyłam kroku.

A teraz siedzę tu. Minęło kilka dni. Codziennie z lękiem oczekuję zmięzchu, gdy białe kwiaty zaczynają pachnieć. To wtedy pamięć rozpala się najgoręcej, najcudowniej. Ale serce mam teraz jak kamień. Kwiaty pachną, lecz cudownych wspomnień nie ma. Nic.

Zegar tak samo zawzięcie zajęty. Teraz wydaje mi się, że ten człowiek to wcale nie ja. Ktoś inny. Chcę ją zabić. Nie musi już się tu krzątać. Jej ręce są blade, ale twarde. Jej kroki po podłodze doprowadzają mnie do szału. Ma w sobie zbyt wiele życia. Tego mielącego, niez mordowanego. Tik tak.

Wymykam się do kuchni. Blade palce zaciskam na jej krtani. Czy to ja czy nie? Szyja mnie pali. Wtedy chwytam ze stołu siekiere. Tik tak. Trach.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3.*

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3.* Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krusenstjerna-zdarzylo-sie-podrodze/>

Tekst opracowany na podstawie: Agnes von Krusenstjerna, *Zdarzyło się po drodze*, tłum. Justyna Czechowska, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2024, Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7532-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji.**